

NR 11
STYCZEŃ 2011

PROSTO Z MOSTU

MŁODZI... EKUMENIZM... BÓG...

O EKUMENIZMIE KULT ŚWIĘTYCH

ZAPACH PRAWDZIWEGO MĘCZYZNY

Święci
grzesznicy

ZROZUMIEĆ MSZĘ ŚWIĘTĄ

W STYCZNIOWYM NUMERZE:



Pierwsza Msza Św. dla obcokrajowców
w Szczecinie.....4

Bracia odłączeni, schizmatycy
czy Kościół siostrzany.....8

Święci grzesznicy.....10

Po co nam błogosławieni i święci?.....12

Prawosławie, święci i kanonizacje.....15

Abby byli jedno.....17

Relacja z Rotterdamu po spotkaniu
wspólnoty Taizé.....6

Zrozumieć Mszę Świętą.....21

...by nie odejść zasmuconym
Bogatą młodzieniec.....26

Pasja życia.....30



Jaką rolę powinien spełniać w kościele
ksiądz? M.in. o tym powie ks. prof.
Wiesław Przyczyzna.....23

Niedawno liceum, teraz High School...31

Zapach prawdziwego mężczyzny.....33

Mam czas.....36

Sine dłonie błogosławionych.....37

Czy zachwycą nas świat wartości?.....40

Pół roku byli w Brazylii
i ewangelizowali, teraz
opowiadają nam o swoich
wrażeniach....41



Rozpoczął się trzeci rok, w którym nasza ekumeniczna gazeta ukazuje się w szczecińskich parafiach: prawosławnej, ewangelicko-augsburskiej i rzymskokatolickich. Ostatnio metropolita szczecińsko-kamieński abp Andrzej Dzięga powiedział o gazecie „Prosto z mostu. Młodzi... Ekumenizm... Bóg...” i trwającym obecnie Tygodniu Modlitw o Jedność Chrześcijan: „Szczecin ma w swojej duchowości wpisana tradycję jedności różnych wyznań i obrządków. Ja mogę się tylko cieszyć z tych różnych inicjatyw, ponieważ wszystko co służy formacji chrześcijańskiej, co służy głoszeniu Słowa Bożego, to wszystko służy dobru człowieka i cieszę się, że to w Szczecinie jest. Niech się rozwija, niech owoce będą dobre i niech będą mnogie.” I my też życzymy sobie tego

w 2011 roku, aby kolejne numery naszego miesięcznika utwierdzały wszystkich jego czytelników w przekonaniu, że owoce ekumenizmu w Szczecinie są liczne. Temu też ma służyć coroczne modlitewne spotkanie wiernych różnych wyznań chrześcijańskich. Nasza gazeta ma przede wszystkim informować. Staramy się nie oceniać wzajemnie, bo oceny dokonują nasi czytelnicy wyciągając wnioski z tego, co przeczytają. W tym numerze chyba trochę wykraczamy poza tę funkcję. Czy to będzie nowy kierunek w naszym miesięczniku? Czas pokaże, ale jedno jest pewne: zawsze będziemy starali się rozwijać to, co jak powiedział abp Dzięga „służy formacji chrześcijańskiej, co służy głoszeniu Słowa Bożego, bo to wszystko służy dobru człowieka”. Zapraszamy do lektury.

Piotr Kołodziejski

PROSTO Z MOSTU

Redaktor naczelny

Piotr Kołodziejski

Zastępca redaktora naczelnego

Małgorzata Moraczewska

Redakcja

Przemek Hrycaj, Piotr Rutkowski,
Sandra Żurawicz, Maciej Papke, Dominika Paplińska, Barbara Wróblewska, Izabella Zajączkowska, Jarosław Kaczmarczyk, Michał Kuśmider, Radosław Krzysztoporski, Katarzyna Ciesielska, Anna Lis, Łukasz Bernaszuk

Korekta

Natalia Dąbrowska

Adres redakcji i wydawnictwa

ul. Królowej Korony Polskiej 28e
70-485 Szczecin

Kontakt z redakcją

ekumeniczni@wp.pl

Opracowanie graficzne i skład

Robert Żak

robert.zak@wp.pl

Fotoedytor

Łukasz Szelemej

www.szelemej.pl

Konsultacja teologiczna: parafii katolickich

ks. dr hab. Krzysztof Wojtkiewicz, prof. US
prawosławnej

ks. Paweł Stefanowski

ewangelicko-augsburskiej

ks. Sławomir Sikora

Wydawca

Fundacja „Szczecińska”

www.szczecinska.eu

Druk

Studio Klawo! Szczecin

Trzech króli

TEKST

Piotr Kołodziejski
parafia
rzymskokatolicka
pw. Matki Boskiej
Jasnogórskiej

POLSKI SZCZECIN MIASTEM WIELU KULTUR I NARODÓW

Przedstawiciele różnych mniejszości narodowych zamieszkujący Szczecin uczestniczyli w uroczystości Objawienia Pańskiego we Mszy Świętej dla obcokrajowców w szczecińskiej katedrze. W święto Trzech Króli, 6 stycznia Eucharystii przewodniczył metropolita szczecińsko-kamieński abp Andrzej Dzięga.

Obok grup językowych z Włoch i Niemiec obecni byli konsulowie honorowi m.in. z Niemiec, Łotwy, Estonii, Litwy, Ukrainy, Włoch czy Danii. W nabożeństwie uczestniczył też dowódca stacjonującego w Szczecinie Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego gen. broni Rainer Korff. W uroczystościach uczestniczyli też grekokatolicy ze swoim proboszczem ks. Robertem Rosą, którzy w tym dniu obchodzili Wigilię Bożego Narodzenia.

Liturgia słowa była m.in. w języku włoskim, angielskim, niemieckim i francuskim, natomiast centralną część nabożeństwa abp Dzięga odprawił po łacinie, a homilię wygłosił w języku polskim. W trakcie Mszy Świętej śpiewano włoskie kolędy, a pod koniec liturgii Cichą Noc odśpiewano w kilku językach m.in. po japońsku.



W uroczystościach uczestniczyli też grekokatolicy. Na zdjęciu ks. Robert Rosa – proboszcz parafii grekokatolickiej w Szczecinie. Fot. Roman Karwowski.

W Mszy Św.
uczestniczył
dowódca
stacjonującego w
Szczecinie
Wielonarodowego
Korpusu Północno-
Wschodniego gen.
broni Rainer Korff.
Fot. Roman
Karwowski.



- Szczecin ma szczególny tytuł historyczny i dziejowy, aby w ten sposób Objawienie Pańskie świętować, bo chyba jak żadne miasto w Polsce, był poprzez dzieje kształtowany przez ludzi, mieszkańców różnych języków, różnych narodów, różnych kultur, ale praktycznie zawsze z imieniem Chrystusa na ustach – powiedział w homilii abp Dziega.

- Symbolika uroczystości Objawienia Pańskiego mówi o tym, że Pan Bóg poprzez trzech mędrców objawia się całemu światu, a więc wszystkim narodowościom – powiedział ks. Sławomir Zyga, rzecznik Kurii Metropolitalnej w Szczecinie. – Chcemy z tymi obcokrajowcami, którzy w naszej wspólnocie Kościoła przebywają, poczuć się razem jako jedna rodzina i podkreślić to przybycie trzech mędrców, abyśmy razem mogli pomodlić się przy żłóbku.

- To też pierwszy taki sprawdzian dla grup, które przyjdą do katedry – tłumaczył przed liturgią ks. Zyga. – A w mieście możemy mówić o przynajmniej trzech grupach językowych, które są dosyć liczne. Jest grupa języka włoskiego związana z wykładowcami na italianistyce Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Szczecińskiego. Jest też spora grupa pochodzenia litewskiego, w Szczecinie jest Honorowy Konsul Republiki Litewskiej i jest też grupa języka niemieckiego, która w sobotni wieczór ma swoje Msze Święte w Bazylice św. Jana Chrzciciela.

I rzeczywiście w czwartkowe południe do szczecińskiej katedry przybyli przedstawiciele różnych narodów i języków. – To bardzo dobra inicjatywa – uważa dr Angelo Rella, kierownik Katedry Italianistyki na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Szczecińskiego. – Społeczeństwo obcokrajowców w Szczecinie jest coraz większe i jest to okazja do spotkania wszystkich. Trzeba pamiętać o tym, że Szczecin to miasto otwarte na obcokrajowców – zaznacza Rella.

- Kiedy wspominam moje początki w Kościele polskim, to Msze Święte były w języku łacińskim, także modlitwa „Ojcze Nasz” – stwierdził Henryk Kołodziej, Konsul Honorowy Ukrainy w Szczecinie, który również był obecny na dzisiejszej uroczystości. - Sama inicjatywa jest na pewno warta utrzymania, możemy wspólnie się modlić i obalać pewne stereotypy, pokazać, że nie tylko katolik jest Polakiem, ale Bóg jest dla wszystkich.

Na zakończenie arcybiskup zapowiedział, że podobna uroczystość powinna na stałe wpisać się w kalendarz wydarzeń religijnych Szczecina. W tym roku również z Zamku Książąt Pomorskich do szopki przy szczecińskiej katedrze przeszedł po raz pierwszy orszak trzech króli.

PIELGRZYMKA ZAUFANIA PRZEZ ZIEMIĘ

TEKST

Agnieszka Lasowska

parafia rzymskokatolicka

pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa

Po sylwestrowym wyjeździe do Rotterdamu pozostały już tylko wspomnienia. Na przełomie 2010/2011 roku odbyło się 33. Europejskie Spotkanie Młodych, w którym uczestniczyło ok. 20 tys. młodych ludzi z całej Europy oraz spoza jej granic. Polacy stanowili sporą część pielgrzymów, przybyli w liczbie 6 tysięcy. Ze Szczecina wyruszyła grupa 56 pielgrzymów.

Muszę przyznać, że Holandia nigdy nie kojarzyła mi się z centrum religijności, raczej z pełnym liberalności państwem, które raczej korzysta z dóbr doczesnych, aniżeli duchowych. Był to również jeden z powodów zorganizowania pielgrzymki w tym państwie.

We wtorek 28.12.2010 r., po całonocnej podróży, dotarliśmy do Rotterdamu. Zostaliśmy bardzo ciepło przyjęci przez wolontariuszy i uzyskaliśmy od nich wszystkie potrzebne informacje oraz materiały niezbędne na najbliższe dni



Fot. Archiwum prywatne.

pobytu. Pielgrzymi zostali rozlokowani w parafiach, a następnie w holenderskich rodzinach.

Każdego dnia odbywały się modlitwy w parafiach i na halach oraz spotkania tematyczne na terenie całego miasta. Oprócz tego każdy pielgrzym mógł znaleźć czas na zwiedzanie Rotterdamu oraz okolic.

W tym roku w czasie modlitw rozważany był „List z Chile” brata Aloisa. Poruszał on fundamentalne aspekty naszego życia, takie jak:

- radość,
- współczująca miłość,
- przebaczenie.

Stał się on szczególnie ważny, po trudnym czasie, jaki dotknął mieszkańców Chile. Trzęsienie ziemi spowodowało wiele tragedii oraz cierpienia na tych terenach. Zachęcam do bliższego zapoznania się z listem na stronie: www.taize.fr.



Fot. Archiwum prywatne.

W sylwestrowy wieczór pielgrzymi zostali ugoszczeni przez rodziny uroczystą kolacją. Był to piękny czas na poznanie miejscowych tradycji i zwyczajów oraz na dłuższe rozmowy z gospodarzami.

Pomimo wielu obaw towarzyszących mi przed przyjazdem do Holandii, bardzo szybko przekonałam się jak gościnni, rodzinni i uduchowieni są to ludzie. Był to szczególny czas, który pozwolił w pełni zrozumieć istotę ekumenizmu, wzajemnego szacunku do różnych wyznań oraz tradycji. Niemal każda napotkana osoba reprezentowała inny Kościół, jednakże ta różnorodność wyznań nie przeszkadzała znaleźć tego, co najważniejsze i wspólne dla nas wszystkich – Jezusa Chrystusa.

Kulminacyjnym punktem tego pięknego porozumienia stała się noc sylwestrowa i wspólna modlitwa w parafiach za pokój na całym świecie. Po tym duchowym wymiarze, nastąpił również czas na cielesne uciechy. Goszcząca parafia i parafianie zadbali o pyszny poczęstunek. A pielgrzymi o taneczno-rozśpiewane uwieńczenie tej nocy.

Czas pielgrzymowania minął bardzo szybko, nawiązane relacje z innymi osobami utrudniały powrót do domu. Ale każdy pielgrzym musi zawsze pamiętać, że to nie jest koniec, tylko zawsze początek naszego pielgrzymowania przez ziemię. Z utęsknieniem będziemy czekali, aby za rok ponownie się spotkać – tym razem w Berlinie. Już teraz serdecznie zapraszam na spotkania

przygotowujące do tego wydarzenia, które odbywają się w każdy czwartek o godzinie 18:30 w salce ODY przy ul. Bogurodzicy 3.

Bracia odłączeni, schizmatycy czy Kościół siostrzaną?

TEKST

Maciej Papke

parafia

prawosławna pw. św. Mikołaja

Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan sprowokował mnie do przemyśleń na temat szeroko pojętego ekumenizmu. Sprowokował mnie do myślenia, jakie owoce może przynieść to dzieło, czym jest dzieło dialogu wewnątrzchrześcijańskiego.

Zacząłem się zastanawiać czy sam jestem osobą „ekumeniczną”, a jeśli tak, to co znaczy dla mnie termin „ekumenizm” właśnie. Doszedłem do wniosków surowych i chropowatych. Pragnę nadmienić, że jest to moja prywatna opinia, wynik obserwacji i ledwie próba wyciągnięcia wniosków. Nie znajduję w moim życiu huraoptymistycznych aktów oikumene. Raczej daleko mi do gorsetu politycznej poprawności. W wielu miejscach mówię NIE. STOP. Jestem tak samo ekumeniczny, jak i tolerancyjny, jeżeli brać znaczenie słowa tolerować *dosłownie* – czyli *znosić*.

Rozmyślałem dokąd ma doprowadzić nas ekumenizm, czy jest szansa na jakiegokolwiek zjednoczenie i jeżeli tak, to na jakich (czyich) prawach i warunkach. Stawiam sobie pytanie o to, gdzie są granice działań ekumenicznych, a gdzie być może są one zatarte. Jakim kamykiem, cegiełką jest nasza gazeta PROSTO z MOSTU w owym dialogu. W sukurs przychodzi mi Piotr Kołodziejski, pisząc do mnie takie słowa: *nasz dialog nie musi polegać na "nawracaniu" jednego wyznania na drugie, ale na rozmowie, która wszystkich nas jako chrześcijan ubogaca i pozwala poznać różnice, które charakteryzują naszą tożsamość wyznaniową, ale jednak zawsze w ramach jednej religii – chrześcijaństwa. I to nas łączy, nawet jeśli nie jesteśmy w stanie być w łączności tego samego wyznania.* Są to słowa, które prostują moje myślenie odnośnie naszego periodyku, tylko i tak uważam, że nasze denominacje mogą mniej lub bardziej świadomie prowadzić niejako działalność misyjną.

Zachodzę w głowę, co Cerkiew może jeszcze zrobić, aby być bardziej prawowierną, prawidłowo sławiącą Trójcę, a więc prawosławnie, ortodoksyjnie? Czego brakuje prawosławiu do pełni ekumenizmu? Czy przez ostatnie 2000 lat Kościół wschodni zszedł na manowce, odszedł od Prawdy, zmienił choćby jedną jotę w Credo albo odszedł od postanowień siedmiu soborów powszechnych? Czy coś robimy źle? Jesteśmy za bardzo starożytni? Nieprzystający do zmieniającego się

Chrystus na
krzyżu i stojący
przy nim
duchowni trzech
wyznań
chrześcijańskich



graf. Robert Zak

świata? Pokuszę się o odpowiedź – Cerkwi niczego nie brakuje. Zadaję te pytania wam Czytelnikom i współpiszącym do tego periodyku. A zadaję pytania, gdyż przeglądając portale internetowe o tematyce religijnej i ekumenicznej, znalazłem bez liku komentarzy pod artykułami dotyczącym prawosławia, tego typu:

Jeszcze powróćcie na łono jedyne prawdziwego Kościoła i będzie dobrze!

Potrzeba tylko modlitwy, by Patriarcha Cyryl w końcu poprowadził Kościoły wschodnie do pełnej jedności z Rzymem, do uznania Stolicy Piotrowej.

Ja ze swej strony życzę braciom odłączonym rychłego powrotu do jedności z Ojcem Świętym, tak by dzieło unii na wschodzie mogło się dalej w naszych czasach pomyślnie rozwijać.

Błogosławionych święt Braciom Odłączonym, oby Bóg przywiódł Cerkiew pod skrzydła Stolicy Apostolskiej.

Modlę się o jedność Kościoła katolickiego i prawosławnych, aby uznali papieża.

To na takich warunkach ma wyglądać jedność? A właściwie dlaczego „bracia odłączeni”? Czy my prawosławni odłączyliśmy się kiedykolwiek od Prawdy? Czy jeden z najstarszych chrześcijańskich kościołów, Gruziński Kościół Prawosławny i Apostolski, założony przez Apostoła Andrzeja, to kościół pełnoprawny, prawdziwy, prowadzący do Zbawienia, czy też nie – bo jest schizmatyczny, odłączony, wszak nie uznający biskupa Rzymu za swojego patriarchę. Pytam zawadiacko (ale szczerze) – dlaczego wydarzenia roku 1054 nazywamy Wielką Schizmą Wschodnią? Czy wierność ortodoksji to schizma, a w dodatku wielka? Gdyby w dzisiejsze, nasze czasy przeniósł się dajmy na to święty Wojciech czy też św. Benedykt z Nursji, to w jakiej świątyni, jaka liturgia byłaby im najbliższa, gdzie poczuliby się jak w domu? Jakie i ile sakramentów uznawali Ci Święci Mężowie?

Zastanawiam się na czym ma polegać jedność, a właściwie zjednoczenie, połączenie Rzymskiego Kościoła Katolickiego i Cerkwi Prawosławnej. Świat patrzy z nadzieją (co zrozumiałe) na spotkanie papieża Benedykta XVI z patriarchą Cyrylem, tylko należy pamiętać że Cyryl reprezentuje prawosławie rosyjskie, a prawosławie to także 15 autokefalii, to Grecja, to Kościoły wschodnie w Afryce...

Jeżeli mówimy o możliwym jednoczeniu, wspólnej drodze, to w moich rozważaniach pod uwagę biorę właściwie Cerkiew Prawosławną i Kościół Katolicki, gdyż tylko w przypadku tych dwóch denominacji widzę taką możliwość, a właściwie wspólny mianownik w postaci Eucharystii i sakramentów czy sukcesji Apostolskiej. Osobiście mniejsze szanse widzę na wspólną drogę z protestantami. Być może jeszcze czegoś nie dostrzegam, a duchowy egoizm przysłania mi obraz całości. Widzę jednak, i to mnie napawa nadzieją, iż wspólnoty protestanckie w Polsce nie są tak innowacyjne jak te w świecie i chyba daleko im do, moim zdaniem, herezji wyświęcania/ordynowania kobiet. Widzę też problem w wyświęcaniu jawnych homoseksualistów będących często w „związkach” w Kościołach protestanckich krajów zachodnich i błogosławienia związków homoseksualnych. Wspomniany patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl stwierdza, że *liberalizacja norm etycznych w świecie protestantyzmu, nie sprzyja działaniom ekumenicznym, dialogowi teologicznemu*.

Być może, największym sukcesem starań ekumenicznych będą dzieła miłosierdzia wspólnych przedsięwzięć organizacji Caritas, Eleos i Diakonii. Co uważam za jak najbardziej pozytywne. Proszę mnie dobrze zrozumieć, zadaję pytania, zastanawiam się. Pragnę jedności, a nie wstydu rozproszenia. Pragnę stanu z pierwszych wieków chrześcijaństwa, czasu kiedy nie będzie zgorszenia rozdarcia i będzie można zawołać *Marana tha!* (o co w cichej modlitwie – nie tylko w Tygodniu Modlitw o Jedność Chrześcijan – proszę w Trójcy Boga Jedyne).



ŚWIĘCI GRZESZNICY

TEKST

ks. Sławomir Sikora

parafia

ewangelicko-augsburska

Świętej Trójcy

Przychodzi nam się zmierzyć z trudnym tematem. W świetle kultu świętych w katolicyzmie i prawosławiu nasze podejście jest diametralnie inne. Postaram się opisać i obronić ewangelickie podejście do świętości bez krytycznego odnoszenia się do nauki pozostałych ekumenicznych partnerów „Prosto z mostu. Młodzi... Ekumenizm...Bóg...”

Kościół Ewangelicki zna biblijne pojęcie świętych występujące w Nowym Testamencie. Są to ludzie wierzący w Jezusa Chrystusa, których codzienne życie jest

uświęcone wiarą i tchnieniem Ducha Świętego. Apostoł Paweł nazywa ich świętymi. Nie jest to świętość w znaczeniu etycznym, ale świętość związana z przynależeniem do świętego Boga. Mówiąc o świętych możemy mieć na myśli tych, którzy swoim życiem złożyli świadectwo swojej wiary. Świętymi określamy apostołów, autorów ksiąg Nowego Testamentu, umownie nazywamy tak ojców Kościoła (np. św. Augustyn). Jeśli święty to po prostu wierzący w Chrystusa, świętymi jesteśmy już za życia.

W Apologii Konfesji Augsburskiej, dziele napisanym w czasach Reformacji, które uznawane jest za jedną z Ksiąg Wyznaniowych Kościoła Luterskiego, poruszony jest temat czci świętych. Pierwszy rodzaj czci to dziękczynienie. „Winniśmy bowiem dziękować Bogu, że ukazał nam przykłady miłosierdzia, że zaznaczył, iż chce zbawić ludzi, że dał Kościołowi uczonych i inne dary”. W życiu wierzących ludzi możemy dostrzec działanie Boga, który wielokrotnie diametralnie odmieniał życie człowieka: z zagorzałego przeciwnika chrześcijaństwa czynił oddanego misjonarza, gotowego na pójście na śmierć za wiarę w Zmartwychwstałego (np. Apostoł Paweł – może również niejedyn z nas?), z egoisty wpatzonego w siebie czynił człowieka gotowego dzielić się wszystkim co posiadał, pełnego pesymizmu człowieka przemieniał w życiowego optymistę. Za to uświęcające działanie Boga powinniśmy dziękować. „Drugi rodzaj czci to umocnienie naszej wiary, gdy widzimy, że Piotrowi darowane zostaje jego zaparcie się, to i my zostajemy podniesieni i podźwignięci, aby jeszcze mocniej wierzyć, że prawdziwie obfitsza jest łaska aniżeli grzech (Rzym. 5, 20)”. Mimo, że wiara i obecność Boga w życiu człowieka wyraża się w dobrych uczynkach, to nie oznacza to, że święci są bezgrzeszni. Popełniali i popełniają błędy, ale uczą nas również jak przepraszać, jak wyciągać wnioski, jak podnosić się po upadkach, aby być coraz silniejszym i lepszym człowiekiem. „Trzeci rodzaj czci to naśladowanie, najpierw wiary, następnie i pozostałych cnót, które naśladować powinien każdy według swojego powołania”. Zarówno w życiu biblijnych bohaterów, jak i w postawie wielu chrześcijan na przestrzeni wieków, również w sposobie życia wielu współczesnych ludzi wiary możemy zobaczyć wielkie bogactwo życiowej mądrości. Święte osoby mogą być dla nas przykładem, jak radzić sobie w naszej codzienności, jak praktykować zasady Królestwa Bożego, które głosił Jezus, kiedy wokół panują zupełnie inne prawa. „Bądźcie naśladowcami moimi” – odważnie zachęcał Koryntian Święty Paweł. Tak powinni mówić rodzice do swoich dzieci, dziadkowie do swoich wnuków, nauczyciele do uczniów, duchowni do wiernych, starszy brat lub siostra młodszemu rodzeństwu. Wierzący w Chrystusa są odpowiedzialni nie tylko za swoje życie, ale również za drugiego. Apostoł Paweł wiele nauczał o wzajemnej duchowej trosce. Kto poważnie traktuje swoją wiarę, ten pilnuje samego siebie, aby nie być zgorszeniem dla słabszego w wierze, ale być przykładem do naśladowania.

Tak rozumiana świętość człowieka pociąga za sobą dalsze konsekwencje. Kościół Ewangelicki nie kanonizuje świętych, pozostawia tę sprawę sądowi Chrystusa. Obcy jest nam kult relikwii świętych, a także modlitwy zanoszone do Boga za pośrednictwem świętych. Modlitwa zawsze skierowana jest bezpośrednio do Boga, a jedynym pośrednikiem nie tylko w zbawieniu, ale również w modlitwie jest Jezus Chrystus.

Podczas nabożeństw ekumenicznych w czasie części liturgii poświęconych świętemu lub Marii, ewangelicy duchowo nie łączą się w tych modlitwach, nie biorą udziału w oddawaniu czci świętemu i Marii. Możemy za to z innymi chrześcijanami dziękować Bogu za ich życie, umacniać naszą wiarę i naśladować ich wierność i odwagę służenia Bogu i bliźniemu.

PO CO

nam błogosławieni i święci?

TEKST

Radosław Krzysztoporski

parafia

rzymskokatolicka

pw. św. Józefa

Oblubieńca NMP

Patrząc z zewnątrz na Kościół rzymskokatolicki można pomyśleć, że rzeczywiście większą, a nawet jedyną, czią obdarza się wizerunki osób, w miejsce należytej czci Bogu. Mylnie można wywnioskować, że Kościół oddaje publicznie większą chwałę konkretnym osobom niż Bogu w Trójcy Jedynemu, który jest Stwórcą całego świata. Mowa oczywiście o świętych i błogosławionych, w których święte obcowanie wierzymy. Wierzymy, że osoby te były w bliskiej relacji z Bogiem albo dały niepodważalne publiczne świadectwo wiary w Niego. I gdy Bóg wezwał ich przed swoje święte Oblicze, to na pewno uzyskali oni wtedy pełny udział w Jego chwale i mogą wypraszać dla żyjących na ziemi spełnienie prośb. Prośb, które żywy Kościół nieustannie zanoszi w modlitwie będąc w przeróżnych potrzebach, wynikających bezpośrednio ze zdarzeń towarzyszących ludzkiemu życiu. Modlitwa jest zanoszona przed Tron Boży w Niebie na przykład za zmarłych, o życie wieczne, o deszcz, gdy usychają polne rośliny, jak również o odpowiedzialnego męża czy czułą, kochającą żonę, a nawet o wygranie meczu piłki nożnej przez reprezentację Polski. O to wszystko można prosić Boga żywego za wstawiennictwem świętych i błogosławionych. Ale skąd oni się biorą?

Jan Paweł II
zostanie
ogłoszony
nowym
błogosławionym
1 maja.



Co pewien czas słyhać w mediach, że w poczet świętych lub błogosławionych zostały zaliczone kolejne osoby. Jest to już finalny etap uznania czyjejs świętości przez Kościół. Zanim nastąpi publiczne ogłoszenie kogoś świętym lub błogosławionym, Kościół chce się upewnić, czy kandydat bądź kandydatka albo nawet kandydaci są godni tych tytułów. W tym celu, na prośbę wiernych lub z urzędu, Biskup diecezji zamieszkania albo inny uprawniony hierarcha może wszcząć dochodzenie dotyczące „życia, cnót lub męczeństwa, sławy świętości albo męczeństwa, stwierdzenia cudów jak również, jeśli przypadek tego wymaga, stwierdzenia – dawności kultu Sługi Bożego, o którego kanonizację wniesiono prośbę” (z Konstytucji Apostolskiej *Divinus perfectionis Magister*). Dochodzenie to nazywa się procesem beatyfikacyjnym (z łac. *beatificare* – wyróżniać). Ale uwaga! To dochodzenie na szczeblu diecezjalnym może zostać rozpoczęte zgodnie z prawem dopiero po upływie pięciu lat od śmierci osoby przeznaczonej do procesu. Tę zasadę zastosowano do św. Maksymiliana Marii Kolbego. Wystąpiły także przypadki uchylecia tej reguły, co miało miejsce wobec bł. Matki Teresy z Kalkuty i Sługi Bożego Jana Pawła II (6 tygodni po śmierci).

Następnie Biskup na prośbę postulatora kompletuje trybunał diecezjalny, przed którym zostanie przeprowadzony pierwszy etap beatyfikacji. Postulatorem jest osoba powołana przez Biskupa, która prowadzi etap diecezjalny procesu. Do obowiązków postulatora należą: przesłuchiwanie świadków oraz badanie wszelkiej literatury pozostawionej przez kandydata na ołtarze, co w efekcie ma posłużyć do sporządzenia opinii świętości i dokumentacji dotyczącej życia i heroicznego cnót. Jest to bardzo czasochłonny etap, zwłaszcza gdy trzeba przeczytać mnóstwo dokumentów i publikacji, a także przesłuchać wielu świadków. Warto nadmienić, że wszelka literatura po zmarłym jest wnikliwie badana przez cenzorów-teologów, których zadanie polega na odnalezieniu tekstów sprzecznych z nauką Kościoła lub dobrymi obyczajami. Jeśli chodzi o świadków w takim procesie, to są oni dobierani głównie z najbliższego otoczenia zmarłej osoby. Chodzi o to, że bliskie osoby mogą powiedzieć o kandydacie najwięcej. Również takie osoby mogą powiedzieć coś, co zaszkodziłoby procesowi w tym sensie, że beatyfikacja mogłaby zostać przerwana. Ale i z takich świadków Kościół nie rezygnuje. Stąd też w trybunale osoba promotora sprawiedliwości (adwokata diabła), którego rolą jest pilnowanie, aby proces przebiegał zgodnie z panującymi zasadami, i aby wszelkie wątpliwości, jakie się w trakcie procesu pojawiają, zostały wyjaśnione. Adwokat diabła może być bardzo przydatną stroną w procesie beatyfikacyjnym, gdy chodzi o uznanie cudu. (W przypadku śmierci męczeńskiej cud nie jest wymagany).

Gdy na tym etapie procesu beatyfikacyjnego nie wystąpią żadne przeszkody to dokumentacja procesu wraz z twórczością kandydata na ołtarze i opiniami cenzorów-teologów jest wysyłana w dwóch egzemplarzach do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych w Watykanie. Do tej przesyłki Biskup jest zobowiązany dołączyć dokument stwierdzający brak kultu publicznego, zgodnie z dekretami Papieża Urbana VIII.

Etap procesu beatyfikacyjnego przeprowadzany w Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych wykonuje się ponownie, jak to odbyło się w diecezji. Gdy i tutaj nie



Msza Św.
Beatyfikacyjna
w Warszawie
podczas
której
ks. Jerzy
Popiełuszko
został
ogłoszony
błogosławionym.

Fot. Piotr Kolodziejński

ma przeszkód w procesie wynik pozytywny procesu beatyfikacyjnego jest przedstawiany Ojcu Świętemu, który dekretem publicznie ogłasza Sługę Bożego błogosławionym, co dopuszcza jego publiczny kult, z tym, że jest on ograniczony, np. do diecezji, państwa.

Podobnie jest z procesem kanonizacyjnym. Gdy pojawi się wniosek o wszczęcie takiego procesu od wiernych albo z urzędu, Biskup może rozpocząć proces kanonizacyjny. Przebiega on również zgodnie z zapisami Konstytucji Apostolskiej *Divinus perfectionis Magister* i norm Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, które określają, że po beatyfikacji powinien dokonać się kolejny cud za sprawą błogosławionego, który będzie przedmiotem badań w czasie procesu. Po pozytywnym rozpatrzeniu sprawy Ojciec Święty publicznie ogłasza dekretem, że dana osoba jest włączona w poczet świętych Pańskich i tym samym zezwala się na jej publiczny kult w całym Kościele powszechnym.

Procesy takie trwają bardzo długo. Niektóre z nich nie mogą się w ogóle zakończyć z powodu pewnych sytuacji, których nie można wyjaśnić, a Kościół nie chce ryzykować swojego autorytetu do uznania czyjejs świętości, jak nie ma całkowitej pewności.

14 stycznia zakończył się proces beatyfikacyjny Jana Pawła II. Benedykt XVI wyraził zgodę na ogłoszenie dekretu o cudzie za wstawiennictwem Jana Pawła II i wyznaczył datę beatyfikacji na 1 maja. W 2006 roku ustalono cud, który ma być podstawą do wyniesienia papieża na ołtarze. Na przełomie grudnia i stycznia 2011 roku Komisja Lekarska Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych uznała cud, którym było uzdrowienie z choroby Parkinsona francuskiej zakonnicy, pozytywnie wypowiedzieli się również teologowie i biskupi Kongregacji. Papież uznając dekret o cudzie ostatecznie zakończył proces beatyfikacyjny.

Czekając na kolejne beatyfikacje i kanonizacje warto cieszyć się już z tych ostatnich np. bł. ks. Jerzego Popiełuszki czy bł. ks. Michała Sopoćki.

Ale po co to się robi? Czy Boga nie ma w naszych sercach, że potrzebne są nam rzesze świętych i błogosławionych? Otóż nie! Bóg ciągle mieszka w naszych sercach. Ciągle można spotkać ludzi, którzy Go bardzo mocno umiłowali i poświęcili Mu swoje życie. A ogłasza się nowych świętych i błogosławionych „Dla umocnienia świętości Ludu Bożego”(…) (por. Kan. 1186 K.P.K.). Bo święci i błogosławieni są przykładem, a nie celem, prowadzącym ludzi żyjących do miłowania Boga, co potwierdzają słowa: „Święty kanonizowany to przede wszystkim członek Kościoła, który odpowiedział na wezwanie Boże i żył w ścisłej więzi z Chrystusem, praktykując cnoty chrześcijańskie, jest przedstawiony przez Kościół, po potwierdzeniu przez Boga cudami, jako szczególny członek Mistycznego Ciała, jako: wstawiający się za tymi, którzy jeszcze żyją na tym świecie, jako godny kultu publicznego (niższego aniżeli należny jest samemu Bogu) i jako przykład życia prawdziwie chrześcijańskiego.” („Kanonizacje a nowa ewangelizacja”, str. 85).

I dlatego sławienie Boga za pośrednictwem świętych i błogosławionych jest wskazane, bo nie umniejsza Jemu chwały, a rozwija duchowo ludzi. Za przykład niech posłuży *Stowarzyszenie Świętego Józefa*, które w naszej parafii w najbliższym czasie rozpocznie swoją działalność. Propagując kult św. Józefa przybliżamy się do rozbudowy naszego wnętrza poprzez naśladowanie Jego cnót. Celem takiego *naśladownictwa* jest zbliżenie się do Stwórcy. Niech to będzie celem dla każdego z nas.

PRAWOSŁAWIE

TEKST
Jarosław Kaczmarczyk
parafia
prawosławna
pw. św. Mikołaja

ŚWIĘCI KANONIZACJE

Styczeń to miesiąc, w którym chrześcijanie różnych wyznań mają okazję, aby bliżej się poznać. Podobieństwa i różnice między nami mogą stać się znane i widoczne. Bardziej to pomoże niż przeszkodzi we wzajemnym zbliżeniu. Jedną z takich sfer, które dzielą lub jednoczą chrześcijan jest zagadnienie osób świętych: samo ich istnienie, sposób ogłoszenia ich świętości, znaczenie w życiu Kościoła/Cerkwi.

Prawosławne chrześcijaństwo głęboko wierzy w możliwość zjednoczenia człowieka z Bogiem – przemiany ochrzczonego na wzór samego Chrystusa. Cerkiew wierzy, iż

wzywaniu Boga kierowane do człowieka w Starym i Nowym Przymierzu „Bądźcie doskonali, jak Ojciec wasz niebieski jest doskonały”, nie jest hasłem rzuconym na wyrost czy zadaniem niemożliwym do zrealizowania. Człowiek – mimo upadku i grzechu – może w zjednoczeniu z Bożymi energiami dostąpić świętości. Osiąga ją nie swoją mocą, ale jednocząc się ściśle z Bogiem przez sakramenty, modlitwę, post – przez co jego miłość ku Bogu osiąga maksimum tego, czego można dostąpić w ziemskim życiu.

Ważne jest to, że Cerkiew nie wykazuje fałszywej skromności czy wstydu, ukrywając świętość swoich synów czy córek. Nie boi się oskarżeń o pychę, zarozumiałość czy przypisywanie sobie świętości i płynącej z tego chwały. Cerkiew jest dumna z tego, że jej członkowie w swoim życiu dali wyraz najwyższej wierności Ewangelii. Radością dla chrześcijan jest świadomość życia we wspólnocie z tymi, którzy po swojej śmierci cieszą się owocami zbawienia: Bogurodnicą, Apostołami, męczennikami... Oddawanie czci świętym to bardzo stara, zachowywana od czasów apostoelskich tradycja Kościoła.

Manifestacja świętości niektórych ze swoich członków niestety różni chrześcijan. Prawosławni i katolicy uznają wielu zmarłych za świętych, modlą się do nich, czcią otaczają ich relikwie. Część innych chrześcijan nie czyni i nie czyniło tego, uważając to nawet za bałwochwalstwo. Cerkiew rozróżnia oczywiście chwałę oddawaną Bogu (gr. *latreia*) od tej oddawanej świętym (gr. *proskynesis*). Oddając cześć świętym, oddajemy chwałę Chrystusowi, który w nich mieszka. Jak dochodzi do ogłoszenia kogoś świętym?

Prawosławie żyje cały czas duchem pierwotnego chrześcijaństwa i nigdy nie opuściło duchowo płodnej gleby Palestyny. Również przy kanonizowaniu niektórych swoich członków stosuje tę samą metodę co pierwsi chrześcijanie. Brakuje nam dokładnych przepisów określających przebieg procesu kanonizacyjnego, brakuje organów ustanowionych do kontrolowania przebiegu tego procesu. Cerkiew za to bardzo mocno bada czy człowiek zmarły w opinii świętości rzeczywiście cieszy się kultem i czcią wśród ludu Bożego. W starożytności „świętym” ogłaszano nie tego, który przeszedł jakiś proces (bo procesów wtedy nie było), ale tego, kogo wierni za „świętego” uznali, do kogo się modlili i którego doczesne szczątki (relikwie) ze czcią przechowywali.

Gdy sława czyjejs świętości się rozszerza, miejscowy biskup powołuje komisję do zbadania tej czci, jaką zmarły odbiera. Komisja taka jest tworzona tylko na tę okazję – nie jest to żaden stały organ diecezjalny czy ponaddiecezjalny. Można powiedzieć, że komisja lub zespół bardziej bada cześć i kult jakim jest obdarzona dana osoba niż samą osobę. W prawosławiu nie można kanonizować kogoś, jeśli nikt się do niego nie modli. Przykładem na to jest odnalezienie w latach 90-tych w czasie remontu w klasztorach Meteora w Grecji pewnego ciała, które wydawało bardzo przyjemny zapach. Tamtejsi mnisi nic nie wiedząc o swoim zmarłym współbracie sprzed wieków ze względu na cud (zapach) zaczęli się do niego modlić, a grecka Cerkiew wpisała go

do dyptychów (ksiąg) świętych pod imieniem św. Wtorek (ciało znaleziono we wtorek) i zatwierdziła ten kult.

Cerkiew nie wymaga cudu przy zatwierdzaniu świętości danej osoby. Cuda dziejące się przy relikwiach zmarłego lub za sprawą zmarłego, są tylko potwierdzeniem świętości jego życia. Niektórzy święci już za życia byli uznawani za świętych właśnie za sprawą cudów, które dokoła nich się działy. Większość stykających się ze św. Serafimem z Sarowa opowiadała o jasności jaka cały czas go otaczała. Również dzień „wychwalenia” przez Cerkiew rosyjską św. Serafima obfitował w nadnaturalne znaki.

Wcześniejsze grzeszne życie "kandydata" nie stanowi przeszkody do osiągnięcia świętości, gdyż człowiek zawsze może zmienić swoją postawę życiową (pokajać się, "metanoia"), nawet w ostatniej chwili życia. Takimi świętymi Cerkiew się chlubi szczególnie: św. Maria Egipcjanka, sprawiedliwy łotr, który "wykrał" sobie raj i wielu innych. W Rosji czczony jest żołnierz Aleksander, który złapany w czasie wojny przez Czechenów, nie wyrzekł się Chrystusa i nie zerwał dobrowolnie krzyżyka z szyi. Zginął, zamęczony w okrutny sposób, a rozgłaszanie przez oprawców opisu jego śmierci przyczyniło się do zapoczątkowania jego kultu. Obojętne kim Aleksander był dotychczas, jego świadectwo i śmierć stawiają go na równi z pierwszymi męczennikami.

Uznanie autentyczności kultu danego świętego odbywa się decyzją soboru lokalnej Cerkwi. Wyznacza ona wtedy dzień pamięci świętego i zatwierdza teksty liturgiczne na to święto. Decyzja taka jest następnie rozsyłana do pozostałych Cerkwi, które mogą włączyć świętego do swoich obchodów liturgicznych w ciągu roku lub tylko przyjąć taką decyzję do wiadomości.

W Cerkwi oddaje się też cześć osobom nie wpisanym oficjalnie do spisu świętych. W 1993 r. w czasie świąt Paschy w Pustelni Optyńskiej niedaleko Smoleńska satanista zamordował trzech mnichów. Miejscowi natychmiast uznali pomordowanych za męczenników i modlą się do nich. Często oficjalne uznanie świętego jest niemożliwe przez dziesięciolecia czy stulecia. Miało to miejsce pod turecką okupacją Grecji, bolszewicką władzą w Rosji itd. W świątyniach pojawiają się ikony (jeszcze bez aureoli), umieszczane w przedsionku lub na bocznych ścianach, przedstawiające osoby uważane za święte, a których cześć nie została jeszcze oficjalnie zatwierdzona przez sobór.

Kilka myśli na koniec. Święci są radością Kościoła/Cerkwi. Jeżeli święci mieliby utrudniać oddawanie chwały Bogu, to należałoby powiedzieć, że chrzest przeszkadza w duchowym odrodzeniu, a Eucharystia przeszkadza w zjednoczeniu z Chrystusem. Święci nie są pośrednikami między nami a Chrystusem, ale naszymi niebiańskimi przyjaciółmi, którzy nas słyszą i pomagają swoją modlitwą. Bp Hilarion Ałfiejew pisał, że ten, kto nie ma przyjaciół w niebie, nie będzie w stanie prawidłowo odbierać tej pobożności, którą otaczani są święci w prawosławnym (i nie tylko) chrześcijaństwie; nie zrozumie tej więzi, która łączy wiernych na ziemi z wiernymi żyjącymi już w Bogu.

Obrona świętych i czci im oddawanej przypomina obronę ikon przed zakusami tych, którym również przywodziły na myśl bałwochwalstwo. Znamienne jest, że ci którzy walczyli z kultem świętych, walczyli również z kultem ikon oraz z życiem monastycznym (mniszym). Tak jak walka z ikoną (ikonoklazm) z reguły oznaczała negowanie faktu Wcielenia, tak walka z monastycyzmem i kultem świętych była i jest odbierana w Cerkwi jako pośrednie negowanie samej możliwości przeobstwiającego i uświęcającego zjednoczenia człowieka z Bogiem.

Symeon Nowy Teolog opisuje świętych jako ogniwa złotego łańcucha: „Przenikając każdego, od pierwszego po ostatniego, od stóp do głów, Trójca Święta łączy ich wszystkich w jedno [...] Połączeni z tymi, którzy odeszli wcześniej i podobnie jak oni napełnieni światłem, święci każdego pokolenia stają się częścią złotego łańcucha, w którym każdy święty jest oddzielnym ogniwem, zjednoczonym z innymi wiarą, uczynkami i miłością. Tak oto w Jednym Bogu tworzą oni jeden łańcuch, którego nie da się łatwo rozerwać. Takie właśnie jest prawosławne pojmowanie wspólnoty świętych. Ten łańcuch to ciąg wzajemnej miłości i modlitwy, i to w tej pełnej miłości modlitwie mają swoje miejsce członkowie Kościoła na ziemi”.

ABY BYLI JEDNO

TEKST

Katarzyna Ciesielska

parafia

rzymskokatolicka

pw. Niepokalanego

Serca Najświętszej Maryi Panny

„Bóg stwarzając mężczyznę i kobietę pragnie byśmy się do Niego upodobniali, ponieważ stworzył nas na swój obraz”. Po stworzeniu Adama, Bóg stwarza również Ewę, ponieważ nie chce, aby mężczyzna czuł się samotny. Z doświadczenia wiemy jak tych dwoje różni się od siebie. W kobiecie jest wiele czułości, troski o innych, bezwarunkowej akceptacji dla każdego oraz wiele emocji i piękna. Mężczyzna to wojownik, silny, kierujący się rozumem, nazywający sprawy po imieniu, powołany przez Boga, aby być ojcem. Mężczyzna i kobieta potrzebują siebie nawzajem i dopiero w jedności odnajdują swoją tożsamość i Boga.

Kiedy dwoje ludzi zakochuje się w sobie, zaczynają widzieć siebie przez „różowe okulary”. Tak naprawdę zatrzymują się na tym, co zewnętrzne, nie zauważając wad drugiej osoby. Bardzo ważny jest okres narzeczeństwa, jest to czas kiedy poznajemy siebie nawzajem i przyglądamy się sobie. Powinniśmy w tym okresie odpowiedzieć sobie na jedno pytanie – czy jesteśmy w stanie żyć z tą drugą osobą do końca życia, z jego wadami, słabościami i grzechami? Mogę dzisiaj z całą pewnością odpowiedzieć, że nie. Jest to szokujące, ale prawdziwe.



Jest jednak jedyne „lekarstwo”, jest ktoś, kto może nam pomóc – to Jezus Chrystus. Bez niego nie jesteśmy w stanie obdarzać siebie miłością miłosierną, która każdego dnia mówi tak na słabości drugiej osoby.

Sakrament małżeństwa to najwspanialszy dar dany od Boga dla ludzi, którzy pragną być razem do końca życia. Bóg w sposób szczególny dotyka swoją obecnością małżonków i jest z nimi bardzo blisko. Miałam okazję podczas modlitwy doświadczyć tej obecności. Kiedy misjonarz kazał podać nam sobie ręce i położył na nasze głowy dłonie, wtulając się między nami, poczułam w całym swoim ciele, wszystkimi swoimi zmysłami, że w naszej jedności jest Jezus Chrystus. Noszę to doświadczenie każdego dnia w swoim sercu i to pozwala mi przetrwać trudne chwile, przypominam sobie wtedy tą miłość, którą wtedy czułam i to daje mi siłę.

Rodzina to wspólnota grzeszników umiejących sobie nawzajem przebaczać. Jest to niemożliwe bez łaski naszego Pana, którą wyprosił nam na krzyżu. Wiele cierpienia doświadczyłam od swojego męża, i tylko Chrystus nauczył mnie przebaczać. Zrozumiałam, że moim wrogiem nie jest mój mąż. Jest on tak jak ja biedaczkiem, który nie radzi sobie z własnymi słabościami. Zobaczyłam, że naszym wrogiem jest szatan. To on nastawia współmałżonków przeciwko sobie, oskarżając i wskazując winę tego drugiego. Kiedy to zrozumieliśmy połączyliśmy się razem i stanęliśmy do walki, ale oczywiście nie sami, lecz w imię Jezusa Chrystusa. To nas zbliżyło do siebie, a przede wszystkim do Boga. Wspólna modlitwa stała się codziennością, bez której nie potrafimy już żyć. Czerwonym światłem powinno być dla nas używanie pewnych słów podczas kłótni – ty zawsze mnie wykorzystujesz, ty nigdy nie zwracasz na mnie uwagi, z inną kobietą na pewno byłbym szczęśliwy. Są to kłamstwa, które podsuwa nam zły duch. Musimy być czujni.


Pojawienie się dzieci wiele zmienia w małżeństwie. Mamy mniej czasu dla siebie, całą naszą uwagę kierujemy na nowo narodzone dziecko. Jesteśmy zmęczeni i stajemy się bardziej nerwowi. Problem narasta kiedy dzieci jest więcej. Zastanawiamy się jak poradzić sobie z obowiązkami i z codziennością. Wraz z mężem mamy czworo dzieci, w tym jedno niepełnosprawne. Jak każda kobieta miałam pewne pragnienia, które chciałam zrealizować. Wyobrażałam sobie, że mogę połączyć pracę z wychowywaniem dzieci. Postanowiłam skończyć drugie

studia i otworzyłam działalność gospodarczą. Prowadziłam przedszkole dla dzieci, zajęcia ogólnorozwojowe dla maluchów oraz terapie SI dla dzieci z zaburzeniami integracji sensorycznej. Odniosłam wielki sukces zawodowy, ale jedno pytanie nie dawało mi spokoju – czy pomagając innym dzieciom, nie zaniedbuję własnych. Ta sytuacja trwała trzy lata. W moim konkretnym przypadku nie było możliwe połączyć pracy z obowiązkami domowymi. Bóg pozwolił mi zrozumieć, że konsekwencje naszych wyborów są widoczne dopiero po wielu latach. Nie możemy ich zobaczyć od razu. Dopiero problemy z dziećmi uświadamiają nam, że coś jest nie w porządku. Straty mogą być bardzo poważne a nawet nie do naprawienia. Z drugiej strony to doświadczenie pozwoliło mi wybrać w wolności czego tak naprawdę pragnę i wybrałam moją rodzinę. Wiercie mi nie czuję się kurą domową, ale żyję przeświadczeniem, że oddałam swoje życie dla miłości. Świat będzie pokazywał nam wiele świecełek i kusił, aby za nimi iść, ale my, którzy wybraliśmy Chrystusa uczyniliśmy go swoim jedynym światłem.

Po 15 latach swojego małżeństwa, widzę, że dopiero teraz zaczynam uczyć się prawdziwej miłości. Po pierwsze Bóg nauczył mnie kochać samą siebie. To jest klucz do miłowania drugiego człowieka. Akceptacja moich słabości, grzechów i ograniczeń pozwoliła mi zaakceptować to w moim mężu i dzieciach. To nie znaczy, że jest to już doskonała komunia osób, ale wciąż jesteśmy w drodze do doskonałej komunii w Bogu. Doświadczamy wielu radości każdego dnia i staramy się za wszystko dziękować Bogu. Postawiliśmy w naszym małżeństwie na prawdę, nawet za cenę łez. Mówienie prawdy sprawia, że wyzbyliśmy się lęku przed odrzuceniem. Czujemy, że współmałżonek jest drogą do świętości, jest to ktoś dany nam przez Boga, aby nas wspierał i pomagał nam kiedy nie będziemy mogli iść dalej. Kiedy dowiedziałam się o chorobie dziecka to mój mąż był tym, który mnie wspierał i pomagał. Po drugie zrozumiałam, że nie jesteśmy w stanie zmienić swojego serca, a co dopiero serca tej drugiej osoby. To może uczynić tylko Jezus. Zapraszając go do swojego życia możemy mieć pewność, że nasza wzajemna „miłość będzie cierpliwa, łaskawa, miłość, która nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie jest bezwstydną, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego, nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą, wszystko znosi, wszystko przetrzyma i nigdy nie ustaje” [1 Kor 13, 4-8 a]. Taka jest miłość Jezusa, a On pragnie tą miłością podzielić się z nami.

Na koniec przytoczę fragment z książki „Mały Książę” Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, który niech będzie puentą moich rozważań: „Teraz jesteś dla mnie tylko małym chłopcem, podobnym do stu tysięcy małych chłopców. Nie potrzebuję ciebie. I ty mnie nie potrzebujesz. Jestem dla ciebie tylko lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów. Lecz jeżeli mnie oswoisz, będziemy się nawzajem potrzebować. Będziesz dla mnie jedyny na świecie. I ja będę dla ciebie jedyny na świecie”.

Mąż powinien być dla mnie jedyny na świecie i ja dla niego także. Nie oznacza to, że mamy być egoistami zapatrzonymi w siebie, gdyż nasza miłość jest naznaczona obecnością Boga, i nie możemy zapraszać do tej jedności kogoś innego. Tego sobie i wam życzę.



TEKST
Piotr Kołodziejski
parafia
rzymskokatolicka
pw. Matki Boskiej
Jasnogórskiej

Zrozumieć Mszę Świętą

W ostatnim czasie przeglądając serwis internetowy Katolickiej Agencji Informacyjnej natknąłem się na informację, która zaczynała się w ten sposób:

„Dość już eksperymentów liturgicznych, Kościół jest miejscem ciszy i modlitwy” – pod takim tytułem świąteczne wydanie włoskiego dziennika „Il Giornale” zamieściło wywiad z prefektem Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, kardynałem Antonio Canizares Llovera. Kardynał Canizares ujawnia, że Benedykt XVI polecił jego dykasterii odnowić liturgię zgodnie z nauczaniem Soboru Watykańskiego II, a zarazem w harmonii z liturgiczną tradycją Kościoła, czyli według propagowanej przez papieża tzw. hermeneutyki ciągłości. Nie można zapominać, że Sobór nie polecił wprowadzać żadnych innowacji, o ile nie ma pewności, że rzeczywiście będą one służyć Kościołowi.

To pierwsze zdania z informacji Katolickiej Agencji Informacyjnej. Do zapoznania się z całością odsyłam do źródła, a także do pełnego wywiadu z kardynałem, ale te zapowiedzi zainspirowały mnie do tego, abyśmy w naszej gazecie stworzyli cykl, w którym będziemy tłumaczyć poszczególne gesty w liturgii mszy świętej.

Choć o poprawność liturgii dba komisja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów Episkopatu Polski, to wszelkie uszczegółowienia norm wprowadzanych w życie liturgii Kościoła partykularnego podejmuje biskup diecezjalny. O tłumaczenie pewnych gestów liturgicznych poprosiłem ks. Piotra Superlaka, który jest rezydentem w naszej parafii. Ks. Piotr Superlak jest dyrektorem Wydziału Wychowania Katolickiego w Kurii Metropolitalnej w Szczecinie. Zadaniem tegoż wydziału jest troska o katechezę – *pośród wszystkich posług i służb, przez które Kościół (...) realizuje swoją misję ewangelizacyjną, wyjątkowe miejsce zajmuje posługa katechetyczna (Dyrektorium Ogólne o Katechizacji 219)*. Głoszenie Słowa przez osoby, które z mandatu biskupa głoszą Orędzie Miłości świadectwem swojego życia. Jan Paweł II wzywał, aby Kościół *zachował dla katechezy największe swe bogactwo, a mianowicie ludzi i siły, nie szczędząc żadnych starań, trudów i środków materialnych, aby lepiej ją organizować i kształcić tych, którzy będą jej odpowiednio służyć.*

NA POCZĄTEK PRZEANALIZUJMY 3 GESTY:

- Aklamacja po przeistoczeniu w postawie stojącej – Kościół wymaga, aby w sytuacjach, w których wyznajemy swoją wiarę (choćby w Credo) potwierdzamy naszą tożsamość jako uczniów Jezusa w postawie stojącej. Tak też jest przy aklamacji po przeistoczeniu. Jest to swoiste wyznanie wiary i uwielbienie Jezusa w słowach, które wyrażamy. Całe misterium chrześcijaństwa, w szczególności zawarte w aklamacji prawdy wiary, w które wierzymy winny być wyrażone w postawie świadomego uczestnictwa i zaangażowania w postawie gotowości i otwartości na to, co się wyznaje od momentu chrztu św. przez decyzyjność swojego życia i działania – tłumaczy

ks. P. Superlak. – W tej sytuacji przechodzimy z postawy klęczącej do postawy stojącej.

- Komunia święta na stojąco czy w postawie klęczącej – przepisy mówią, że pełniejsza jest postawa klęcząca, ale dopuszcza się też postawę stojącą w zależności od tego, jaka jest predyspozycja osoby przyjmującej komunię świętą. Zawsze jest możliwość, aby przed przyjęciem Chrystusa w Eucharystii osoby, które przyjmują Go w postawie stojącej oddały cześć w geście pokory i szacunku przez skłon głową lub przyklęknięcie. Gros ludzi przystępuje w postawie klęczącej, ale większość przyjmuje komunię św. w postawie stojącej.

Liturgia Słowa z ambony - W Eucharystii widoczny jest podwójny stół zgodnie z myślą teologiczną bardzo powiązany ze sobą: Słowa i Eucharystii. Godność słowa Bożego wymaga, by w kościele było ono głoszone z miejsca, na którym w czasie Liturgii Słowa spontanicznie skupia się uwagę wiernych. Ambona jako liturgiczne miejsce, z którego głoszone jest słowo Boże powinna być umieszczona w dobrze widocznym miejscu, w naturalny sposób przyciągającym uwagę wiernych. Liturgiści podkreślając godność słowa Bożego uwrażliwiają, iż ambona jest miejscem czytania tekstów mszalnych, Psalmu responsoryjnego oraz orędzia wielkanocnego: można też wygłaszać tam homilię oraz odczytywać intencje modlitwy wiernych - tłumaczy ks. Piotr Superlak. Skuteczność głoszonego słowa Bożego uwarunkowana jest także od gotowości do przyjęcia słowa Bożego poprzedzona nasłuchiowaniem, aby przestrzeń życia religijnego budziła świadomość, że Bóg mówi do mnie w tej chwili.

O różnych niebezpieczeństwach w liturgii na podstawie swoich spostrzeżeń i doświadczeń opowiada ks. prof. Wiesław Przyczyna, dyrektor Instytutu Liturgicznego; Kierownik Katedry Komunikacji Religijnej na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie, którego namówiłem na rozmowę. Zapraszam do jej lektury.



Kapłan powinien prowadzić wiernych do Boga

ROZMAWIAŁ
Piotr Kołodziejcki
parafia
rzymskokatolicka
pw. Matki Boskiej
Jasnogórskiej

Ks. prof. Wiesław Przyczyna: To, co zaczyna mnie niepokoić to Eucharystia i liturgia, bo myślę szerzej, a więc i o liturgii sakramentalnej, która zaczyna na trosze zamieniać się w show, wzorować się na programach telewizyjnych i kabaretowych. Księża stawiają sobie za cel zatrzymanie uwagi słuchaczy, spowodować, żeby dobrze się czuli na liturgii i mile spędzili czas, natomiast nie chodzi im o to albo nie doceniają innego aspektu, żeby doprowadzić ludzi w liturgii do spotkania w obecnym w Eucharystii Panem Bogiem. Temu hołdując sprawiają, że ludzie wychodząc z niedzielnej mszy świętej mówią „ale było miło i interesująco, jak wesoło i ile ciekawych anegdotek powiedział ksiądz podczas homilii”. Myślę, że nie o to chodzi i nie taki cel ma homilia. Wchodzenie w rolę kabareciarzy jest wyborem złym, z tego względu, że ksiądz nigdy nie będzie zawodowym kabareciarzem, bo tychże jest wielu i są o wiele lepsi niż księża, którzy w tę rolę wchodzą.

Czy w takim razie wzór to msza trydencka?

Nie, to jest inny obrządek. Tylko powaga, radosna msza, ale wedle rytu, jaki jest przewidziany. Każdy sprawujący Eucharystię powinien mieć świadomość, że nie on jest najważniejszy, że najważniejszy jest Pan Bóg, który działa w liturgii i to jest początek wszystkiego. Jeżeli ksiądz ma świadomość, że jego zadaniem jest doprowadzenie wiernych do spotkania z Bogiem, a on, czyli kapłan jest medium, to się uda. Jeżeli będzie chciał wejść w główną rolę, to będzie to spotkanie z księdzem, a nie z Panem Bogiem. Mam przykre doświadczenia związane z sakramentem małżeństwa, kiedy panna młoda prosiła mnie o to czy nie dałoby się wprowadzić do sakramentu jakichś elementów rozrywkowych, na przykład czy państwo młodzi mogliby całować się po przysiędze, żeby ludzie wtedy bili brawo. Ja byłem temu przeciwny i tłumaczyłem, że sakrament małżeństwa ma dwa wymiary: prawny, powoduje skutki wobec prawa cywilnego, a z drugiej strony jako sakrament, w którym działa Bóg łączący dwoje ludzi na dobre i na złe. Tu nie ma miejsca na zachowania z pikniku czy samego wesela. „Ale inni księża to robią” – usłyszałem. Odpowiedziałem, że „być może, ale po co? Na to będzie czas”. Dziewczyna się upierała, więc powiedziałem, że zgodzę się pod warunkiem, że nie całowaliście się dotąd. Dziewczyna odpowiedziała, że „To nie. Ja pięknie dziękuję, nie będziemy się chcieli całować”. Kolejne pytanie dotyczyło tego, czy narzeczeni będą mogli podczas ślubu mówić do siebie zdrobniałymi formami imion. Odpowiedziałem, że to akt prawny, sakrament i nie można tego robić. Inny przypadek z mojej



ks. Wiesław Przyczyna.

Fot. Archiwum prywatne.

parafii, kiedy przychodzi panna młoda, która planuje ślub za rok i ma trzy żądania: po pierwsze, żeby firma dekorowała kościół. Mój proboszcz nie zgodził się na to, bo firmy nierzadko zabierają dekoracje po komunii świętej na inny ślub. Drugie pytanie czy zamiast czerwonego mógłby być biały chodnik do ołtarza. Proboszcz też się nie zgodził. I po trzecie „czy proboszcz mógłby znaleźć miejsce dla psa podczas ślubu. Czy byłby między moim narzeczonym a mną, czy obok mnie, bo to niemalże mój najlepszy przyjaciel”. Proboszcz błyskotliwie odpowiedział, że zgadza się, tylko jest jeden problem. „Co zrobimy jak ktoś przyjdzie z koniem, bo ma przyjaciela konia i gdzie my postawimy przy ołtarzu konia?”. Takie ludzie mają pomysły i dochodzimy do przedziwnych sytuacji, w których ludzie chcą liturgii, ceremonii, gdyż gdzie indziej nie ma takiej oprawy, a de facto ma to charakter świecki. Czy wolno księżom iść w tę stronę i doprowadzać do sytuacji komicznych i groteskowych?

Dziś kapłani często używają różnych sposobów przyciągania do Kościoła młodych ludzi na przykład przez scholę, muzykę. Czy poważny kapłan, który jest medium, jak to ujął ksiądz we wcześniejszej fazie wypowiedzi, nie kłóci się trochę ze współczesnością, w której młody człowiek zabiegany, czasem nie potrafiący skupić się na mszy „wpada” do kościoła?

To pytanie, które mnie nurtuje i z którym się sam męczę. Mówiąc o poważnym kapłanie, nie myślę o smutnym kapłanie, ale radosnym, który wprowadza radość w liturgię, ale nie przekraczając pewnych granic. Sukces będzie taki, że ludzie będą biegać do kościoła bo jest radośnie, rozrywkowo, natomiast czy dojdzie do ich spotkania z Chrystusem obecnym w liturgii? Rozmawiałem kiedyś z pewnym organistą, który powiedział mi, że ludzie mają zapotrzebowania, żeby na ślubie zagrać „Love me thunder” Elvise Presleya albo piosenkę Celine Dion z „Titanica” albo „Zimę” Vivaldiego, bo im się to bardzo podoba. Oni będą zadowoleni, ale czy mamy tak schlebiać ludziom,

żeby się oni dobrze czuli w kościele, czy mamy ich pragnienia podnosić, mobilizować, żeby ich oczekiwania były na wyższym poziomie niż te które mają, bo myślę, że nierzadko to wynik nieznamomości sprawy u ludzi świeckich, ale obawiam się, że również brak formacji liturgicznej u duchownych. Bo jak można ocenić księdza, który w dniu św. Mikołaja odprawia Eucharystię przebrany za św. Mikołaja z brodą z waty? Czy to celebrians czy mikołaj? Jak można ocenić księdza, który przebiera się za smoka wawelskiego na Roratach i wygłasza homilię, jest tak „zrobiony”, że zieje ogniem. Tłumy dzieci przychodzą rano na Roraty z lampionami. Efekt był taki, że smok był na wrotkach i spadł ze schodów i złamał nogę. Następnego dnia już go nie było, a w kolejnym dniu nie było dzieci, bo nie było smoka wawelskiego na mszy świętej. Czy w wychowaniu religijnym chodzi o to, żeby dzieci miały teatrzyk? Czy w Niedzielę Dobrego Pasterza, kiedy ksiądz imituje i robi inscenizację jak dobry pasterz troszczy się o owieczki. Wychodzi z prezbiterium, wchodzi między lud, wybiera jedną z piękniejszych dziewczyn, jaka tam jest, bierze ją na plecy jako tą zagubioną i niesie do ołtarza pokazując jak dobry pasterz troszczy się o zagubioną owieczkę. Może ona wcale nie była zagubioną, ale była ładna i myślę, że nie za ciężka, bo inaczej nie doniósłby jej do ołtarza. To są poszukiwania wzięte z programów telewizyjnych, gdzie wszystko ma bawić i wszystko ma cieszyć. Tak ukształtowaną mentalność ma słuchacz-uczestnik liturgii, bo tak kształtuje go telewizja, ale tak samo ukształtowany jest kapłan, bo też jest dzieckiem mediów.

Ale to chyba skrajne przypadki. Wracając jednak do duszpasterstwa młodzieży i scholi, które często przyciągają młodych do Kościoła przyczyniając się do odkrywania Boga. Może więc granie na gitarze podczas liturgii nie jest czymś złym?

Myślę, że nie, chociaż gitara nie jest instrumentem, którego można używać w liturgii, ale się przyjęło. Przepisy nie dopuszczają gitar, bębnów, różnych innych instrumentów współczesnych, ale jeżeli jest to zrobione z taktem, gdzie nie ma tumultu w kościele i jeżeli jest to schola pięknie śpiewająca czy a capella, to nie jestem przeciwny. Tylko jeśli wprowadzamy, to wiemy czemu to ma służyć, do jakich granic można dojść, a czego nie wolno nam przekroczyć. Wspomniał Pan, że przypadki, które podałem, są ekstremalne. One są, ale ich jest coraz więcej. Ta tendencja się szerzy. Błogosławiłem ostatnio małżeństwo i podczas wesela powiedziano mi, że jestem za mało ludyczny i za mało rozrywkowy na ślubie. Zapytałem więc czy mam stawać na głowie i tryskać humorami? Podczas kolejnego ślubu pomyślałem, że może mieli rację i że to pokolenie, które potrzebuje takiego radosnego przeżywania tej chwili. Użyłem więc w trakcie homilii kilku anegdot. Oczywiście był śmiech w kościele i znowu uczestniczyłem w weselu i słuchałem opinii. Oni zapamiętali tylko te anegdoty, a nic z tego, co chciałem przekazać im o sakramencie małżeństwa; wręcz powiedziano, że za poważnie traktuje małżeństwo, gdyż ono jest na jakiś czas i jak się nie ułoży, to za jakiś czas jest inne. To mówili 30-40-latkowie i tu jest problem czy Kościół ma schlebiać, żeby mieć wyznawców, czy powinien postawić granicę wymagania i mieć mniej wyznawców, ale oddanych Kościołowi i Panu Bogu.

I księdza zdaniem, w którą stronę powinni iść duchowni?

Z Uchodziłem i wśród wielu teraz uchodzę za liberała, ale skłaniam się ku temu, że powinniśmy poważnie traktować religię. To nie muszą być wszyscy, ale to jest dla tych, którzy chcą podjąć pewną drogę i nią podążać. Może więcej troski o tych ludzi, żeby ich lepiej przygotować do pewnych etapów wchodzenia w chrześcijaństwo? Może to jest droga, a nie jedna czy druga katecheza i już chrzczimy, parę spotkań z młodzieżą i już bierzmy, kilka spotkań nie zawsze na wysokim poziomie w kursach przedmażeńskich i już błogosławimy małżeństwa. Może trzeba postawić jakieś większe wymagania.

Dziękuję za rozmowę.



Odnaleźć siebie w Biblii

Biblia kojarzy nam się z lekcjami języka polskiego, historią, katechezą. Często słyszę komentarze: to przestarzała księga, nic mi nie da jej czytanie. W tej rubryce będziemy chcieli pokazać, że w bohaterach historii biblijnych możemy zobaczyć swoje słabości i swoją siłę, usłyszeć własne pytania i wątpliwości, wreszcie możemy odnaleźć siebie.

...by nie odejść zasmuconym.

TEKST
ks. Sławomir Sikora
parafia
ewangelicko-augsburska
Świętej Trójcy

Bogaty młodzieniec

Być młodym, pięknym i bogatym – marzenie wielu ludzi, szczególnie młodych, którzy dopiero układają swoje życie. Tym marzeniom nie ma się co dziwić, skoro współczesny świat lansuje pogląd, że dopiero posiadanie tych trzech atrybutów sprawia, że można być prawdziwie szczęśliwym. A szczęście to stan, o który zabiega już chyba każdy człowiek. Czy zatem w świecie kultu młodości i zewnętrznego piękna, w epoce świecidełek, które mają nie tylko oczy, ale i serce, jest miejsce na wartości wewnętrzne? Czy młodzi ludzie żyjący w swoim „realnym” internetowo-komórkowym świecie, mają czas na refleksję, która dotyczy ich „wirtualnego” świata rodziny, Kościoła, drugiego człowieka i Boga? Czy jest

dzisiaj miejsce na pytanie: co mam zrobić, aby być zbawionym? Pewien młody człowiek zadał to pytanie i otrzymał odpowiedź, a potem odszedł... zasmucony.

W Ewangelii św. Marka (10, 17 - 22) czytamy o tym, jak pewien młody człowiek przybiegł do Jezusa, padł na kolana i zapytał: Nauczycielu dobry! co mam zrobić, aby odziedziczyć żywot wieczny? Przyznać trzeba, że postawa tego młodzieńca robi wrażenie. Nie pyta jak być młodym, pięknym i bogatym (i chyba nie tylko dlatego, że młodym i bogatym był na pewno), tylko interesuje go wieczność. Jak odziedziczyć żywot wieczny, jak być zbawionym? Przybiegł do Jezusa, to znaczy, że w swoich poszukiwaniach był bardzo zdeterminowany, traktował chęć znalezienia odpowiedzi bardzo poważnie. Czytamy, że Jezus przygotowywał się właśnie do drogi, a więc nie był to dobry moment do dialogu. Jego pytanie nie było próbą zaimponowania starszym, że on młody człowiek też ma prawo do dyskusji i filozofowania ze znanym rabinem jak równy z równym.

Jezus podjął rozmowę, co nie jest bez znaczenia. Wielu młodych ludzi zadaje pytania, chce wypowiedzieć swoje zdanie, chce wyrazić swoją młodość, czasem bunt, ale często również swoją kreatywność i niestety nie podejmuje się z nimi rozmowy. Zbývają ich rodzice, zbývamy ich jako ich duszpasterze, zbývamy ich w naszych parafiach. Oczywiście mocno uogólniam i mam nadzieję, że będę dobrze zrozumiany, ale często zamiast podjąć dialog z młodym człowiekiem, każemy mu się najpierw odpowiednio „zestarzeć” i wtedy dopiero gotowi jesteśmy słuchać, rozmawiać, współpracować. Tylko że później nie ma już z kim...

Jezus podjął rozmowę. Zaczął ją nieoczekiwanie od pytania, które brzmi jak pouczenie: dlaczego nazywasz mnie dobrym nauczycielem, nikt nie jest dobry – tylko jeden Bóg. Ktoś powie: niefortunny początek rozmowy z młodym człowiekiem. Dlaczego zatem tak odpowiedział Jezus? Zadajmy sobie pytanie, jakie wyobrażenie mógł mieć ów młody człowiek o Jezusie, czego się po Nim spodziewał? Myślę, że traktował Jezusa jako nauczyciela, rabina żydowskiego, o którym słyszał wiele pozytywnych opinii, a jednak był On przecież tylko jednym z wielu rabinów. Jezus chciał dać mu do zrozumienia, że oto stanął przed samym Bogiem i teraz otrzyma odpowiedź, która nie będzie jedną z wielu dróg, nie będzie mógł się udać do kolejnego nauczyciela z tym pytaniem. Odpowiedź Jezusa była ostateczną wykładnią życia doczesnego i wiecznego owego młodzieńca. Teraz zapewne bardziej uważnie słuchał i zastanawiał się, w którą stronę rozwinię się dialog z Mistrzem. „Znasz przykazania” – po tych słowach młody człowiek odetchnął z ulgą. Mógł pochwalić się swoją żarliwością w przestrzeganiu Prawa i to od swojej młodości. A więc Jezus spotkał bardzo pobożnego, dobrze wychowanego i duchowo uformowanego młodego Żyda, jak można wywnioskować, z bardzo pobożnej, praktykującej rodziny. Całe szczęście, że w naszych czasach również mamy takich młodzieńców, którzy mogliby o sobie powiedzieć dokładnie tak samo: żyję wartościami chrześcijańskimi od dzieciństwa, wiarę przekazali mi moi rodzice. Ten młodzieniec z Ewangelii św. Marka jest odzwierciedleniem przykładowego konfirmanta, który zapytany o przykazania, potrafi nie tylko je wymieniwać, ale i wyjaśnić na podstawie Małego Katechizmu ks. dra Marcina Lutra. Wzór do naśladowania! A jednak mimo tego, że

był pobożnym Żydem wciąż dręczyło go pytanie: co mam czynić, aby odziedziczyć żywot wieczny? To znaczy, że intuicyjnie odczuwał, że czegoś mu brakuje, że można zdobyć wyższy szczyt, o którym dotychczas nie wiedział. Teraz przyszedł może najważniejszy moment w jego życiu. Nauczyciel, Dobry Bóg znający człowieka w sposób absolutny, nie tylko to, co zewnętrzne, ale przede wszystkim to, co wewnętrzne, miał udzielić odpowiedzi również absolutnej, definitywnie określającej prawdziwą kondycję duchową owego młodzieńca, a później wyznaczyć mu drogę, która zaprowadzi go do upragnionego celu, jakim jest Królestwo Boże.

Czytamy, że Jezus spojrział na niego z miłością. Takie niby oczywiste, ale czy na pewno? Czy potrafimy zawsze patrzeć na młodych ludzi z miłością? Czy nazbyt często nie powtarzamy im o ich buncie, o ich dziwacznych zainteresowaniach, że nie rozumiemy, jak mogą tyle czasu spędzać przed ekranem komputera i rozmawiać ciągle przez komórkę? Czy nazbyt często nie mówimy im, że kiedyś tak nie było i że my kiedyś tam w przeszłości byliśmy lepszymi młodymi ludźmi? Czy nie wylewamy na młodych całej naszej frustracji, której źródłem jest problem, jaki mamy z samymi sobą? Nie usprawiedliwiam zachowań młodzieży, ale zwracam uwagę, że Jezus spojrział na niego z miłością. Nie chciał go napomnieć, skarcić, chciał go... uwolnić? „Jednego ci brak ...”. W naszych czasach młodym ludziom również czegoś brakuje, o czym nie można milczeć, nie wolno dawać przyzwolenia na życiowe priorytety, wśród których Bóg, Kościół i rodzina bywają na niższych pozycjach. Nie może sen po długich nocnych zmaganiach z RPG (jeden z bardzo popularnych rodzajów gier komputerowych, w których wcielamy się w postać bohatera przemierzającego różnego rodzaju krainy, wypełniając najróżniejsze misje) być ważniejszy od niedzielnego nabożeństwa, letni biwak z kolegami cenniejszy od parafialnego obozu młodzieżowego, a bieganie ze swoimi dziećmi w niedzielne popołudnie po hipermarkecie cenniejsze od uczestnictwa w życiu Kościoła. Priorytety muszą być ułożone zgodnie z przykazaniem miłości do Boga i bliźniego swego, ale o tym trzeba mówić również z miłością.

Jezus w rozmowie z młodzieńcem zaskakuje po raz kolejny: „Idź, sprzedaj wszystko co masz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, po czym przyjdź i naśluduj mnie”. Młody człowiek sposępniał i odszedł zasmucony, miał bowiem wiele majątności. Błąd duszpasterski i pedagogiczny! Tak chcielibyśmy powiedzieć, bo trzeba zrobić WSZYSTKO, aby młody człowiek nie odszedł. Trzeba go ZA WSZELKĄ CENĘ zatrzymać! Jeśli grupa młodzieżowa nie jest zainteresowana rozmową o Bogu, wierze i codziennych problemach, trzeba im zaproponować zamiast spotkania młodzieżowego piłkę nożną, tańce towarzyskie albo wspólne wyjścia do pubu, powtarzam zamiast spotkań młodzieżowych. Czy to jest jednak dobra droga, aby zatrzymać młodych w Kościele? Czy oni potrzebują tylko kolejnego zwykłego miejsca spotkań z rówieśnikami? Czy chodzi tylko oto, aby byli, czy aby byli wierzącymi? Wierzę w to, że nawet jeśli trzymają ciągle ręce w kieszeni i wykazują niechęć do wielu podejmowanych działań, nawet jeśli określają wszystko jako bezsens, to jestem głęboko przekonany, że tkwi w nich, podobnie jak w nas dorosłych, pytanie: co mam czynić, aby być zbawionym? A to jest rolą Kościoła, to jest najważniejszym zadaniem prowadzącego spotkania

młodzieżowe, aby wskazać radykalnie na Jezusa, jako **JEDYNĄ Z MOŻLIWYCH DRÓG!** Jezus nie zostawił młodzieńcowi złudzeń: jednego ci brak, w związku z tym idź, zadziałaj, podejmij decyzję, a później przyjdź do mnie, pójdziemy razem przez życie. Przyznać trzeba, że Jezus był bardzo wymagający. Tylko jednego mu brakowało, a jednak nie pozwolił, aby „to jedno” stanęło na przeszkodzie do prawdziwej duchowej wolności. Wspomniałem wcześniej, że Jezus nie chciał go skarcić, ani napomnieć, ale chciał go uwolnić. Jezus widział w młodzieńcu ptaka, który ma związane skrzydła, który tylko drepta po ziemi i choć nie wie jeszcze, po co ma skrzydła to jednak patrzy w niebo i gdzieś intuicyjnie wyczuwa, że nie został stworzony do dreptania w miejscu, ale jego powołaniem jest pokonywać przestworza. Młodzieniec przestrzegał od młodości przykazań, ale czuł, że to za mało, że dotyka ciągle ziemi, a chciałby dosięgnąć nieba. Jak osiągnąć Królestwo Boże? Jezus wiedział, że bogactwo przestało być błogosławieństwem, ale stało się w pewnym sensie przekleństwem. Ten młody człowiek zapewne polegał na swoim majątku, tylko w jego obecności czuł się pewny i bezpieczny, to majątek był jego skałą, warownym grodem i gwarantem bezpieczeństwa. Jezus nie chciał być dodatkiem do życia, Jezus chciał być dla niego Życiem. Młody człowiek musiał pozbyć się tego wszystkiego i dopiero nie mając nic, otrzymać od Jezusa wszystko. Odszedł jednak zasmucony. Chcielibyśmy, aby finał tej historii był inny. Co dalej stało się z tym człowiekiem? Czy kiedykolwiek jeszcze wrócił do Jezusa? Tego nie wiemy. Możemy sobie tylko gdybać, że mógł zostać jednym z uczniów Jezusa, mógł w czasie Ostatniej Wieczerzy położyć swoją głowę na ramieniu Jezusa, jak uczynił to Jan, umiłowany najmłodszy uczeń Mistrza. Mógł stać pod krzyżem Golgoty albo ścigać się z Janem w drodze do pustego grobu, aby jako pierwszy przekonać się, że zmartwychwstanie jest prawdą. Mógł, ale wybrał bogactwo, nie pozwolił sobie rozwiązać skrzydeł i może do końca swych dni dreptał nerwowo po ziemi, czasem tylko patrząc w niebo i marząc, aby wzbić się w przestworza. Może z pytaniem o osiągnięcie Królestwa Bożego skierował się do innego dobrego nauczyciela, który pochwalił jego życiową postawę i nie kazał mu nic zmieniać. Gdzieś jednak słowa „jednego ci brak” nie pozwalały mu spokojnie cieszyć się swoim życiem.

A jak jest z Tobą? Czy wiesz, co to wzbijanie się w górę w wierze? Czy wiesz już czego Tobie brak? Czy pozwoliłeś już sobie rozwiązać skrzydła? Jeśli nie, to zaufaj Temu, który jest **DROGA, PRAWDA i ŻYCIEM!** Nie bój się utracić coś, aby zyskać **WSZYSTKO**. Życzę odważnego wzbijania się w niebo – przecież do tego jesteśmy powołani. „Lecz ci, którzy ufają Panu, nabierają siły, wzbijają się w górę na skrzydłach jak orły, biegną, a nie mdleją, idą, a nie ustają”. (Iz 40,31)

Pasja życia

TEKST

Barbara Wróblewska

parafia

rzymskokatolicka

pw. Świętego Krzyża

Pasja określana jest jako wielkie zamięłowanie do czegoś, co robimy. Dla jednego będą to góry, dla kogoś innego muzyka, teatr czy literatura. Jak wielu jest ludzi tak wiele może być pasji. Jednakże czy współcześni ludzie posiadają wiele pasji w swoim życiu? Pasja nadaje życiu barwę, której ono tak bardzo potrzebuje. Spośród wielu życiorysów świętych, możemy przytoczyć wiele przykładów osób, które potrafiły żyć z pasją na drodze swojej świętości. Ja chciałabym ograniczyć się do dwóch przykładów: świętego Brata Alberta i świętej Joanny Beretty Molla.

Adam Chmielowski w 1863 roku był uczestnikiem powstania, w którym został ciężko ranny i stracił nogę. Jako młody człowiek studiował malarstwo w Monachium wraz z czołówką polskich artystów. W swoich malarskich dziełach wytrwale poszukiwał własnego stylu, w którym mógłby wyrazić siebie oraz prawdę o Bogu i o człowieku. Po wielu latach odnalazł nową drogę powołania, odkrywając w twarzach ludzi dotkniętych skrajną nędzą znieważony obraz Bożego Syna, który przedstawia słynny obraz Chrystusa przed Piłatem zatytułowany „Ecce Homo”. Następnie jako franciszkański tercjarz przyjął imię Albert i zamieszkał z bezdomnymi. Po jakimś czasie do brata Alberta dołączyli współpracownicy i jego naśladowcy, co dało początek nowym zgromadzeniom, założonym dla posługi najuboższym. Brat Albert jest postacią, która ukazuje nam, jak pasja malarstwa i tworzenia sztuki stała się drogą do Boga. Pasja ta była dla niego etapem na drodze do świętości, a nie celem samym w sobie, gdyż wtedy mogłaby go w pewien sposób ograniczyć. To właśnie poszukiwanie sensu w sztuce, którą tworzył sprawiło, że zaprzagnął pomagać najuboższym i tak realizować swoje powołanie.

Kolejną postacią, którą chcę przedstawić jest żyjąca w połowie ubiegłego wieku we Włoszech święta Joanna Beretta Molla, która jako doktor medycyny, pediatra i matka rodziny kochała życie. Uwielbiała przyrodę, uprawiała narciarstwo, chodziła do teatru. Życie towarzyskie jakie prowadziła było wsparte wielką wewnętrzną pracą nad sobą, wolą kochania Boga i pomocy bliźniemu. Stąd jej zaangażowanie w modlitwę, medytację, udział w Akcji Katolickiej i wolontariacie. Dla Joanny bardzo ważna była rodzina. Od swoich rodziców otrzymała przykład chrześcijańskiej pobożności i zdecydowała się, aby naśladować ich życie. W swoje małżeństwo wniosła radość życia i spontaniczne pragnienie urodzenia wielu dzieci. To właśnie macierzyństwo pozwoliło jej realizować się jako kobiecie. Potrafiła godzić obowiązki żony, matki i lekarki, zaś siłę czerpała z codziennej Eucharystii. Czwarta ciąża okazała się być dla Joanny wezwaniem do poświęcenia życia, które ofiarowała z pełną świadomością, właśnie z uwagi na miłość, która jest silniejsza niż śmierć. Historia miłości Joanny

i jej męża Piotra Molla była bardzo piękna, choć trudna. Dowodem tego są listy pisane przez nią w okresie narzeczeństwa i małżeństwa do Piotra. Było ich bardzo wiele ponieważ Piotr z uwagi na charakter swojej pracy musiał często wyjeżdżać w delegacje. Listy były dla nich formą kontaktu i jednym ze sposobów wyrażania swojej miłości. Natomiast po śmierci świętej stały się dowodem świętości w procesie kanonizacyjnym. Jednocześnie są one dla nas dodatkową możliwością bliższego poznania świętej i jej życia. Joanna Beretta Molla posiadała wiele pasji, które ubogacały jej życie, jednak najważniejsza była w jej życiu miłość, która uzdolniła ją, jako matkę, do ofiary ze swojego życia.

Przedstawione przykłady życia dwojga świętych pokazują, że bardzo ważne jest, aby człowiek, cokolwiek robi, robił to z zamiłowaniem, gdyż dzięki temu jego życie nabiera głębszego sensu. Nie jest ważne, jakie mamy pasje, tylko czy potrafimy żyć z pasją. Dlatego nie ma też znaczenia czy jestem mechanikiem, fryzjerką, czy profesorem. Ważne jest abyśmy umieli rozwijać w sobie różne zainteresowania, które mogą przerodzić się w pasje. Ten rozwój zawsze ubogaci nasze życie, a tym samym może ubogacić innych. Jak wszystko w naszym życiu, tak i rozwój pasji wymaga czasu i poświęcenia z naszej strony. Jednak warto zainwestować w swój osobisty rozwój różnych zainteresowań i pasji, które jako element naszego życia mogą nam pomóc na drodze do świętości.



Niedawno liceum

teraz High School...

TEKST

Adriana Martin

parafia rzymskokatolicka

pw. Świętego Krzyża

Hi! Pozdrawiam wszystkich czytelników „Prosto z mostu...” z Poole w Anglii, gdzie przebywam od lipca ubiegłego roku. Od czasu, kiedy wielu Polaków wyemigrowało do tego pięknego kraju, każdy z nas słyszy bardzo dużo o Anglii. Pewnie wielu z nas ma tutaj swoich krewnych lub znajomych. Niektórzy mieli z pewnością okazję, aby zwiedzić ciekawe miejsca na Wyspach podczas wizyty u przyjaciół. Ja natomiast chciałabym podzielić się z Wami moim doświadczeniem angielskiej szkoły, do której po wakacjach zaczęłam uczęszczać w Poole. Tak się składa, że mój tata od kilku lat tutaj mieszka i pracuje. W tym roku szkolnym, po rodzinnej dyskusji, zdecydowaliśmy się wraz z młodszym bratem dotrzymać tacie towarzystwa, a co za tym idzie, uczęszczać również do tutejszej szkoły.

Mam siedemnaście lat i jestem uczennicą High School (Sixth Form).

Szkoła ta jest odpowiednikiem polskiego liceum. Brytyjskie Ministerstwo Edukacji oszacowało, że na Wyspach uczy się 26840 Polaków. Liczba ta plasuje dzieci polskich imigrantów na szóstym miejscu wśród uczniów, dla których angielski nie jest językiem ojczystym.

Tym, co zewnętrznie odróżnia angielskie szkoły, to oczywiście mundurki.

W Zjednoczonym Królestwie każdy uczeń przed wyjściem do szkoły wkłada elegancki mundur, na który składają się spodnie lub spódniczka, marynarka, koszula i krawat. Każda szkoła ma nieco inny krój i kolorystykę stroju. Mundurki traktuje się tutaj jak świętą tradycję i ich zasadność nie poddaje się żadnej dyskusji. Nosi się je z prawdziwą dumą.



Fot. Archiwum prywatne

Z bratem podczas wypadu do Londynu.

Pierwszą zasadniczą różnicą w planie zajęć jest możliwość wyboru przedmiotów, których chcemy się uczyć – przynajmniej na moim poziomie wiekowym. Przedmiotów tych może być od trzech do pięciu. Ja wybrałam matematykę, chemię, biologię, angielski i historię. Ponieważ Anglicy należą do ludzi, którzy nie lubią się zbyt mocno przemęczać, zazwyczaj wybierają tylko trzy przedmioty. Uważam, że wybór przedmiotów to bardzo dobre rozwiązanie, gdyż uczymy się tego, co jak sądzimy, będzie nam w życiu potrzebne, z czego będziemy kiedyś korzystać. Nikt też nie może powiedzieć, że uczy się tego przymusowo, bo przecież każdy sam wybiera co chce robić. Jest to chyba lepsze rozwiązanie niż nauka ponad dziesięć przedmiotów (jak to było w moim liceum) i brak czasu na odpowiednie przygotowanie się do każdego z nich.

Interesujące jest również to, że każdy przedmiot jest nauczany przez dwóch nauczycieli. Przekonałam się, że daje to możliwość uzupełnienia wiedzy i sprawia, że na dany materiał można spojrzeć z różnych stron. W praktyce bywa, że kiedy ma się kłopoty ze zrozumieniem lekcji jednego nauczyciela, zawsze można zwrócić się o pomoc do drugiego. Na każdy przedmiot przypada w tygodniu około pięć godzin lekcyjnych. Zazwyczaj każdego dnia są wszystkie przedmioty. Taki plan lekcji zmusza do systematycznej nauki.

Jeżeli chodzi o poziom nauczania konkretnych przedmiotów, to muszę stwierdzić, że matematyka wypada tutaj bardzo słabo. Osobiście cieszę się z tego, ponieważ z matematyki nie szło mi nigdy dobrze. Chociaż w mojej wcześniejszej szkole byłam jednym ze słabszych uczniów, tutaj często „zaginam” moich rówieśników.

Jednak tym, co najbardziej mi się podoba w angielskiej szkole, to lekcje praktyczne z niektórych przedmiotów. Mam tu na myśli przede wszystkim chemię i biologię. Połowę czasu lekcyjnego przeznaczają się na eksperymenty, badania, doświadczenia i obserwacje.

Przyznaję, że dużym szokiem były dla mnie zajęcia o budowie anatomicznej serca i płuc. Oprócz przedmiotowych książek na naszych ławkach

znalazły się kuwety ze świńskim sercem oraz płucami owiec. Do tego potrzebne instrumenty chirurgiczne, czyli skalpel, chwytaki, szczypcy oraz szkło powiększające. I to jest według mnie prawdziwa nauka. Zerkając do książki oglądaliśmy na żywo aortę serca, lewą i prawą komorę, płuca i oskrzela. W przyszłości chciałabym studiować medycynę i chyba dlatego tego typu poglądowe lekcje bardzo mi odpowiadają.

Porównując edukację w Polsce i tutaj w Anglii przyznałabym wyższą notę szkole angielskiej. Przede wszystkim z tych powodów, które wymieniłam wcześniej: możliwość wyboru przedmiotów, większa współpraca z nauczycielami i bardzo przydatne zajęcia praktyczne. Cieszę się bardzo, że mogę spędzić ten rok w Anglii i chodzić do tutejszej szkoły. Ale muszę też dodać, że tęsknię, tęsknię, tęsknię...



Fot. Archiwum prywatne.

Praktyczna lekcja biologii.

ZAPACH PRAWDZIWEGO MĘCZYZNY

TEKST

ks. Sławomir Sikora

parafia

ewangelicko-augsburska

Świętej Trójcy

„Gdzie ci mężczyźni, prawdziwi tacy, mmm, orły, sokoły, herosi!? Gdzie ci mężczyźni na miarę czasów, gdzie te chłopcy!?” – tak śpiewała kiedyś Danuta Rinn, choć nie jedna kobieta również dzisiaj zadaje sobie to pytanie: gdzie ci prawdziwi mężczyźni? Tylko, że nie do końca wiadomo, o co chodzi z tą prawdziwością. Definicje się mocno przemieszały, zmieniły się realia życia, oczekiwania są wielkie. A co na to współcześni mężczyźni? Ferdek Kiepski z kanapy sprzed telewizora, w swojej kultowej podkoszulce tłumaczy Waldusiowi: prawdziwi mężczyźni to my! Tylko czy o takiej prawdziwości śpiewała Pani Danuta?

Zacznijmy od tego, że być dzisiaj prawdziwym mężczyzną nie jest łatwo. Nie jest się nim tylko z racji płci. Może kiedyś to wystarczyło. Wiadomo było, że to faceci gonili po lesie, żeby upolować jakiegoś mamuta, wypatroszyć go i przynieść do domu. To oni byli żywicielami rodziny, to oni wyruszali na wojny, to oni byli wojownikami, gwarantami rodzinnego bezpieczeństwa. Tylko że mamuty wyginęły, a mężczyźni musieli schować maczugi i wylądowali w domowych kapciach na kanapie. A co na to kobiety? Wzięły sprawy w swoje ręce, jeszcze mocniej przywierając mężczyźni do telewizora. Kto to widział, żeby kobieta była prezesem firmy i, co gorsza, radziła sobie świetnie? Kobieta stała się silniejsza, bardziej samodzielna i niezależna. Mężczyźni boją się, że nie mają kogo bronić, przestali być jedynymi żywicielami rodziny. Ku wielkiemu zdziwieniu wielu przedstawicieli płci jeszcze do niedawna silniejszej, okazało się, że nie jedna kobieta potrafi zarobić więcej od swojego męża! Współczesny mężczyzna różnie radzi sobie z tym, że swoją prawdziwość musi dopiero udowodnić, musi stać się prawdziwym mężczyzną, nie wystarczy tylko urodzić się rodzaju męskiego. A to stawanie się „prawdziwym” jest trudne. Z jednej strony jest w nas dzika natura, która każe nam gonić mamuty, bratać się z wilkami, zdobywać niedostępne tereny, a z drugiej strony coraz częściej słyszymy, że mamy iść do kosmetyczki i salonu odnowy biologicznej. Zapach i gładkie golenie twarzy stały się ważnymi atrybutami męskości. Modnie skrojona marynarka, stylowa koszula i właściwie dobrany krawat – to wszystko wysuwa się na pierwszy plan. Czy między flakonikami męskich pachnidel znajdzie się miejsce na pytanie o męską duszę? Czym powinien wewnątrz pachnieć mężczyzna? Jaki na nim najlepiej leży duchowy garnitur? Zastanówmy się.

Dobrze byłoby mieć jakiś model, który można by podać jako wzór. Spróbujmy: Jezus Chrystus – wzór prawdziwego mężczyzny. Według wytycznych tego świata kandydatura nie do przyjęcia. A może jednak? Jaki był zapach duszy Jezusa? Jakich używał flakoników? Musiał być intrygujący, skoro tak wiele ludzi Ignęło do Niego, chciało, aby Jego wewnętrzna woń przedostawała się przez odór tego świata i docierała do ich dusz. Co zatem go charakteryzowało? Jezus wiedział, czego chce, jednocześnie nie był despota. Współczesny mężczyzna najczęściej nie wie, czego chce. Więc jest ciągle niezadowolony, krytyczny, zamknięty. Syn Boży pociągał zdrową pewnością siebie. W Jego wydawaniu rozkazów była moc i siła, jednocześnie miłość i łagodność. Nie bał się konfrontacji, nie bał się, gdy wszystkie oczy były zwrócone na Niego. Często my mężczyźni wolimy pozostać w cieniu, chowamy się obawiając się oceny innych, boimy się wziąć odpowiedzialność. Źle znosimy porażki, dlatego wolimy nie podejmować decyzji. Coraz częściej gdy rodzina wchodzi na plażę to kobieta wskazuje, gdzie rozbijają „rodzinne wakacyjne obozowisko”. Mężowie niemo zgadzają się, podążając w milczeniu za swoimi żonami. A gdy okazuje się, że obok odpoczywa inna rodzina z hałasującymi dziećmi, które grają w piłkę ciągle wpadającą za parawan, wtedy niezadowoleni mężowie mogą wyrazić swoje krytyczne zdanie wobec decyzji, których... bali się podjąć. Jezus wiedział czego chce, bo miał swoją samoświadomość, to znaczy wiedział, kim był. To jest podstawa prawdziwej męskości. Mężczyzna musi wiedzieć, że jest mężem swojej żony, chłopakiem swojej dziewczyny. Musi znać swoją rolę w związku, ubrać się w garnitur

partnerstwa z kobietą. On powinien być skałą, „silnym ramieniem” (przede wszystkim w rozumieniu emocjonalno-duchowym), ale również przyjacielem kobiety. Dotyczy to nie tylko mężczyzn w związkach. Jezus nie miał żony, a jednak kobiety znajdowały w Nim skałę, On nie wzbraniał się wobec takiej roli. Wiedział, że jest mężczyzną.

Jezus był wewnętrzną jednością. Garnitur jego duszy był idealnie na Niego skrojony. Dzięki temu Jezus pociągał spokojem i harmonią, z tego rodziła się siła, która imponowała ludziom, niektórych doprowadziła do furii. Może faryzeusze wyczuwali, że daleko im do prawdziwych duchowych mężczyzn? Że są słabi i tchórzliwi, dlatego byli duchowymi despotami? Prawdziwy mężczyzna ma odwagę zapytać: kim jestem? Jakie barwy i zapachy ma moja męska dusza? Jak z nich właściwie korzystać, jak nimi się dzielić? Jezus obdarowywał swoim życiem. Miał wizję, którą realizował, którą propagował. Celem Jego życia było głoszenie Królestwa Bożego. Zaangażowany był w to zadanie całym sobą, za idee Królestwa był gotów wchodzić w konflikt z przywódcami religijnymi, był gotów być wyśmianym, wykpionym, znieważonym. Za wierność swoim wartościom, za wierność samemu sobie gotów był umrzeć. Mężczyzna powinien mieć cel życia, mieć wizję, w którą zaprasza otaczających go ludzi, szczególnie tych najbliższych, na których najbardziej mu zależy. Ilekroć zdradza samego siebie, tylekroć wypiera się swojej męskości. Gotowi jesteśmy dzisiaj walczyć na śmierć za rzeczy trzeciorzędne, oddajemy zupełnie bez walki pierwszorzędne obszary naszego życia. Jezus wiedział, że szabat jest ustanowiony dla człowieka, faryzeusze przepisy zakonu stawiali na pierwszym miejscu, jednocześnie nie szanowali ludzi, a Jezus za ludzi oddał swoje życie. Pokazał, na czym polega bycie prawdziwym mężczyzną. On nie musiał niczego udowadniać. Po prostu nim był.

Wszystkim mężczyznom polecam książkę Anzelma Grüna (ojciec Anzelm od 1977 pełni funkcję szafarza w opactwie Münsterschwarzach Zakonu św. Benedykta) „Walczyć i kochać. Mężczyźni w poszukiwaniu własnej tożsamości”. Autor opisuje 18 męskich bohaterów Pisma Świętego. Dokonuje rysu psychologicznego ich życiowych postaw, opisuje ich silne i słabe strony, upadki i wzniosłe chwile, zwycięstwa i porażki. Książkę polecam również kobietom, aby wiedziały, czego mogą oczekiwać od mężczyzn.

Czasy polowań na mamuty minęły bezpowrotnie, na całe szczęście nie musimy udawać się na wyprawy wojenne. Czy współczesny mężczyzna może zatem być wojownikiem? Tak, tylko że zamiast maczugi lub miecza ma swoje serce. Tu rozgrywa najważniejsze swoje życiowe bitwy, od wyników których zależeć będzie czy będzie życiowym zwycięzcą, czy przegranym. Świat nadal potrzebuje silnych mężczyzn. W aurze męskich zapachów i gładko golonych twarzy świat tęskni za pięknym zapachem męskiej duszy. To piękna woń walki i miłości.

MAM

TEKST

Sandra Żurawicz

parafia ewangelicko-augsburska Świętej Trójcy

CZAS

IX

XII
V

Zdążę odrobić lekcje, bo ja mam czas, posprzątać też zdążę, bo mam czas, postanowienia noworoczne też zrealizuję, bo przecież do końca roku tyle czasu! Jakiś czas później stwierdzam, że muszę teraz odrobić lekcje, bo wcześniej nie miałam czasu, wreszcie muszę posprzątać, bo wcześniej zabrakło mi czasu, postanowienia noworoczne w końcu muszę spełnić, bo już tak mało czasu do końca roku albo właściwie to zostało jeszcze tyle lat na spełnienie tego, co jest do zrealizowania. Mam czas na tak wiele spraw, a jak zabraknie mi czasu – to przełożę to na później. Już po adwencie i po świętach, teraz pozostaje tylko czekać, ale czy już nie tak wytrwale jak wcześniej? Nowe postanowienia i plany spychają w dół listy wcześniejsze wypunktowane, czasami tłustym drukiem, zamiary. Jeden punkt powinien być niezmienny, czasami wydawałoby się tak oczywisty, że nawet nie musi być zapisany na liście postanowień. Pielęgnowanie kontaktów z ważnymi dla nas osobami, pozbywanie się niechcianych przyzwyczajzeń, obiecywanie sobie poprawę czy zmianę w różnych sferach życia doczesnego. Na wiele obietnic trudno jest nam znaleźć czas. W takim razie jak znajdziemy czas na najważniejszy punkt, nie zawsze

widoczny na naszej liście?

Codziennie obowiązki i napięty plan pracy powodują, że dni które powinny być wolne, szczególnie niedziele, są często zajęte przez rutynowe sprawy. Ambitne postanowienia tegoroczne są ważne, lecz nie mogą narażać na odepchnięcie na dalszy plan punktu, bez którego nie da się żyć. Postanowienie, które sprawia, że czasami brak czasu, nie może być wrogiem, aby znaleźć moment na modlitwę czy skupienie. Każdy czasami chce, żeby doba miała jeszcze jedną godzinę a tydzień jeszcze jeden dzień – szczególnie, gdy nie nadążamy z obowiązkami, ale również kiedy życie staje się sielanką podczas odpoczynku. Jak nie mamy czasu podczas tygodnia, to na pewno w czasie wolnym będziemy mieli chwilę na zmiany. Minie dużo czasu zanim zauważymy, nie uświadamiając sobie wcześniej, ile czasu straciliśmy odkładając coś na jutro, czyli w bliżej nieokreślonej przyszłości stającą się otchłanią. Mam jeszcze czas. Ilu osobom tak odpowiadamy? Ile osób jeszcze będzie mogło to usłyszeć? Szczęśliwi czasu nie mierzą, ale powinni dzielić go tak, by szczęście trwało jak najdłużej. Nie przyszedł teraz. Nie przyjdzie dzisiaj, więc mam czas. Pewnie minie jeszcze sporo czasu zanim Go powtórnie ujrzymy. Do kościoła zdążę jeszcze pójść

i zawołać o przebaczenie. Postaram się zmienić i zacząć żyć w zgodzie z własnym sumieniem, a nie brać tylko „dobrych rad” wszystkich chcących jak najlepiej, byle tylko nie zaprzeczyć panującym zasadom i normom. Mam tyle czasu na zmianę, że zacznę w ostatnim momencie, aby teraz nie utrudniać sobie życia i nie wybiegać poza przyjętą normę.

Przyszedł. Miałam czas na zmianę, na to, aby wreszcie zaufać i uwierzyć. Miałam możliwość temu wszystkiemu zapobiec. Teraz już nie powiem mam czas, bo miałam, ale się skończył. Miałam czas na to, żeby odrobić lekcje, posprzątać pokój i zrealizować noworoczne postanowienia. Czy udało się?

sine DŁONIE błogostawionych

Pośród wielu powołań, jakie odkrywamy w ramach wspólnoty Przymierza Miłosierdzia, działającej przy klasztorze szczecińskich Dominikanów, jest misja niesienia nowiny o Bożej Miłości osobom bezdomnym. Podobnie jak nasi bracia z Aliança de Misericórdia w Brazylii (dzięki nim powstała nasza grupa), którzy otaczają modlitwą najuboższych mieszkańców Faweli, tak i my chcemy wstawiać się za tymi, których różne koleje losu – ich własne wybory, decyzje innych – skazały na życie w odrzuceniu.

TEKST
Jakub Nowakowski
parafia
rzymskokatolicka
pw. św. Dominika

Właśnie modlitwa jest pierwszą, choć jak się czasem okazuje, ostatnią, najskuteczniejszą formą pomocy, jaką możemy ofiarować. Wielokrotnie – zarówno my, jak i „nasi” bezdomni, doświadczaliśmy swoistych porażek, próbując rozwiązywać problemy za pomocą perswazji, niesienia jedynie doraźnej pomocy materialnej czy udzielania najmądrzejszych, wydawałoby się, porad. Chrystus, którego zapraszamy przy okazji każdego wyjścia na ulice, domaga się od nas uznania i uwielbienia Jego przedziwnej Opatrzności, która zna ludzkie potrzeby i ma gotowe sposoby ich zaspokojenia. Modlitwa prośby i dziękczynienia jest zatem tym, od czego powinniśmy zaczynać niosąc jakąkolwiek pomoc. Dlaczego? Bo to nie my jesteśmy tu dawcami!

Tę niełatwą prawdę musieliśmy przyjąć, żeby mogły się wydarzyć cuda, których byliśmy świadkami. Jednak również bezdomni stają często przed problemem przyjęcia i zrozumienia naszych ograniczonych, ludzkich zdolności. Ile razy dane nam było oglądać ich rozczarowane twarze, na których malował się wyraz bolesnego zawiedzenia, gdy oświadczyliśmy, że tym, co możemy im teraz dać jest „jedynie” nasza modlitwa. W takich sytuacjach wielu odchodzi narzekając, machając z rezygnacją ręką. Jednak, dzięki Bogu, większość zostaje poruszona



Fot. Łukasz Szelemej. www.szelemej.pl

tym, że ktoś ich zauważył. Zadziwiające są to spotkania. Pan Bóg uczy i obdarowuje zawsze obie strony. Spotykaliśmy bezdomnych, którzy otwierali się przed nami ze łzami w oczach, wdzięczni za modlitwę, za to, że ktoś ich wysłuchał bez udawanego zainteresowania – uczyli się tego, że „Bóg posyła”, że o nich nie zapomni. Z kolei naszej grupie z jednej strony daje Jezus możliwość poznania własnej słabości, gdy mierzymy się z uczuciem lęku, wstydu, z drugiej zaś budzi w nas poczucie wielkości, że oto my jesteśmy pogotowiem ratunkowym samego Pana Boga.

I tu ponownie kołem ratunkowym staje się modlitwa – tym razem o jedność i ochronę przed działaniem złego. Cotygodniowe spotkania przed szczecińską katedrą rozpoczynamy od powierzenia się Maryi, Archaniołowi Michałowi i naszym świętym patronom, wierząc, że Kościół niebieski i ten ziemski tworzą jedno ciało. Kiedy wyruszamy w stronę Podzamcza czy dworca nigdy nie wiemy kogo Pan postawi na naszej drodze... choć mamy już grupkę bardziej lub mniej z nami zaprzyjaźnionych bezdomnych, a wśród nich rodzyinka, który często okazuje się być raczej orzechem w pancernej łupinie.

Tym, co w dużej mierze utrudnia dialog z ludźmi ulicy, jest ich niemal powszechna tendencja do manipulacji. Ta z kolei wypływa bądź z uzależnienia od alkoholu, bądź z lękowego przekonania, że jeśli nie przedstawią swej sytuacji w wystarczająco czarnych barwach, nie otrzymają pomocy. Postawa taka, paradoksalnie, uniemożliwia im często przyjęcie naszych propozycji. Spora część potrzebujących ma otwartą drogę do miejsc w schroniskach, jednak warunkiem niezbędnym do spełnienia jest zachowywanie abstynencji. Okazuje się, że wielu bezdomnych woli pozostać na ulicy i mieć możliwość picia. Staramy się ich nie osądzać – któż z nas nie wybiera we własnym życiu łatwiejszych, wygodniejszych ścieżek?

Pan Bóg nie chce jednak naszego zwątpienia, a już na pewno nie pozwoli by trwało dłużej niż jest to konieczne do tego, żebyśmy uznali ostatecznie Jego totalną przewagę w rozgrywce z wrogiem człowieka. I dlatego też daje nam doświadczyć sytuacji takich jak ta. Jakiś czas temu, podczas środowego wyjścia do

bezdomnych, dotarliśmy na dworzec kolejowy i tam, jak to czasem robimy, podzieliliśmy się na 2-3 osobowe grupki. Część z nas rozmawiała z kilkorgiem bezdomnych – byli pod silnym działaniem nalewek, na które ciułali od samego rana. Upojenie alkoholem połączone z normalną, ludzką radością z tego, że ktoś się nimi interesuje sprawiało, że ich relacja z nami była bardzo dynamiczna, niespokojna... trudno było skupić się na modlitwie. Tymczasem dwóch naszych braci spotkało na przeciwległym końcu hali trzydziestoparoletniego człowieka, który już od dłuższego czasu nocował na dworcu, po tym jak stracił pracę przez pijaństwo właśnie. Na szczęście mężczyzna był trzeźwy i bardzo chętnie opowiadał o swojej sytuacji. Powiedział, że przez jakiś czas pił z pozostałymi, lecz kilka dni temu ogarnęło go przemożne przeświadczenie, że z jakiegoś nie do końca jasnego powodu ma przestać. Ci, którzy znają mechanizmy uzależnień, wiedzą zapewne, że jest rzeczą graniczącą z niemożliwością przebywanie z ludźmi pijącymi 24 godziny na dobę w miejscu tak niekomfortowym jak dworzec i nie ulec pokusie picia. Człowiek ten powiedział nam, że jest pewien, że to Bóg dał mu siły do wytrwania tych kilku dni. Bracia zaprosili go na mające się rozpocząć za dwa dni warsztaty Talitha Kum, będące wstępem do odnowienia ojcowskiej relacji z Bogiem i uzdrowienia relacji z bliskimi. Zaproszenie zostało przyjęte i Andrzej, ku pewnemu zaskoczeniu niektórych, zjawił się na warsztatach. Co się wydarzyło w jego duszy? Tego do końca nie wiemy, pewne jest to, że skontaktował się telefonicznie ze swoją rodziną, do której nie odzywał się od długiego czasu i wyruszył na drugi koniec Polski, skąd pochodził. Żegnając się z nami z zapałem mówił o wdzięczności Bogu za szansę, którą otrzymał.

„Sługa nie jest większy od swego pana. Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować” (J 15, 20) mówi Chrystus do apostołów. Grupa młodych ludzi, modlących się żarliwie z wyciągniętymi rękami w centrum miasta... kłuje w oczy. Znak krzyża, głośno odmawiany różaniec, modlitwa w językach – to wszystko wywołuje zainteresowanie przechodniów. Czasem jest to ciekawość życzliwa, której towarzyszy uśmiech, kiedy indziej rzeczywistość tak niewygodna, że powoduje odwrócenie głowy i przyśpieszenie kroku, bywa też tak, że strach demona manifestuje się w sposób całkiem realny i gwałtowny. Dlatego też staramy się powierzać w naszych modlitwach także tych, którzy próbują nas odsyłać do kościołów, do wnętrza naszych mieszkań. Prosimy w intencji tych, którzy najbardziej potrzebują Jego Miłosierdzia.

Zaproszenie:

Zapraszam do słuchania Audycji Katolickiej w Polskim Radiu Szczecin w każdą niedzielę o godzinie 8.05 (częstotliwość 92 MHz). W audycji m.in. o wydarzeniach z życia Kościoła, dialogu ekumenicznym w Szczecinie, młodzieżowych wspólnotach, a także rozmowy z chrystusowcem ks. Zbigniewem Reguckim (duszpasterzem akademickim w Sanktuarium Najświętszego Serca Pana Jezusa w Szczecinie) oraz ks. dr. Krzysztofem Łuszczkiem (prefektem Arcybiskupiego Wyższego Seminarium Duchownego w Szczecinie). Można też wygrać nagrody książkowe. Wideorelacje, galerie zdjęć, zarchiwizowane audycje i informacje oraz archiwalne numery „Prosto z Mostu. Młodzi...Ekumenizm...Bóg...” na www.radio.szczecin.pl/religia. Piotr Kołodziejski, Zapraszam!



CZY ZACHWYCA NAS ŚWIAT WARTOŚCI?

TEKST

Łukasz Bernaszuk

parafia rzymskokatolicka pw. Świętego Ducha

To pytanie jest zawsze aktualne, choć wielu ludzi mogłoby zaskoczyć. Dziś żyjemy w świecie, który wydaje się coraz bardziej przyspieszać zarówno w stylu życia, jak i zdobyczach nauki czy nowych technologiach, mimo to pytanie o wartości pozostaje fundamentalnym. Szczególnie współcześnie, w czasach globalizacji, bez próby odpowiedzi na nie, nie sposób funkcjonować. Mam tu na myśli egzystencję opartą na autentycznym życiu bez udawania, zagubienia.

Dzisiejszy świat mówi nam, że jesteśmy coś warci jeśli..., i to jest sedno pytania postawionego w tytule. Dotykamy tu rdzenia człowieka, jego centrum dowodzenia, z którego wypływają wszelkie działania, decyzje. Dlatego dziś wielu ludzi nie stawia sobie egzystencjalnych pytań. Tylko nieliczni zastanawiają się, szukają drogi życia, mają odwagę chcieć czegoś więcej, nie boją się swoich myśli, uczuć, wsłuchują się w swoje pragnienia.

By dać próbę odpowiedzi sięgnijmy do Ewangelii według św. Łukasza, do tekstu zatytułowanego „Przemienienie Jezusa”. W tej scenie Piotr wypowiada do Jezusa takie słowa: „Mistrzu, dobrze, że tu jesteśmy”. Piotr doświadcza głębokiego pokoju, nie chce stąd odchodzić. Mówi dalej o postawieniu namiotów, czyli pewnego rodzaju mieszkania. Słowa te można by rozumieć też tak: dobrze nam w tym wartościowym świecie, tak ciężko stąd odchodzić. I nam towarzyszą podobne doświadczenia. Jesteśmy w jakimś pięknym miejscu i odczuwamy głęboki żal, że musimy odejść. Podobny stan ducha towarzyszy nam w sytuacji przebywania z wartościowymi ludźmi, których z bólem serca opuszczamy.

„A z obłoku rozległ się głos: On jest moim synem wybranym, Jego słuchajcie”. Bóg Ojciec nie zostawia nas samych, tak jak często czyni to świat, wręcz przeciwnie, ofiarował nam swojego Syna, dał też swoje Słowo, dzięki któremu możemy poznawać Boga, przebywać z Nim, słuchać Go, a dzięki temu odkrywać świat wartości bez warunku „jeśli”. Przez takie rozumienie możemy też dojść do wniosku, że wartości się po prostu ma, co stanowi niezaprzeczalną prawdę o naszym życiu.

Zgłębiając to Słowo, odkrywamy dalej w końcowym akapicie „owoce wartości”. Ewangelista Łukasz tak podsumowuje to wydarzenie: „Oni zaś zachowali milczenie i w tamtych dniach nikomu nic nie mówili o tym, co widzieli”. Milczenie, cisza, jakże przeciwne naszej rzeczywistości, my dzisiaj nie chcemy słuchać. A to właśnie słuchanie w ciszy jest konieczne, by usłyszeć siebie, swoje emocje, a w końcu Boga, który pragnie mówić do każdego z nas. Dlatego też osoba wartościowa potrafi przekazywać wartości, dzielić się nimi i ubogacać rzeczywistość wokół siebie.

SZCZECIŃSCY MISJONARZE NA POSŁUDZE W BRAZYLII

TEKST

Anna Lis

Izabella Zajączkowska

parafia rzymskokatolicka pw. św. Dominika

Magda i Artur, członkowie wspólnoty „Przymierze Miłosierdzia”, pół roku spędzili w jednym z domów wspólnoty w Sao Paulo ewangelizując oraz pracując ku chwale Boga...

- Co skłoniło Was do wyjazdu do Brazylii? Jaki był pierwotny cel tej podróży?

A: Pierwszy raz ta myśl pojawiła się podczas wizyty ojca Enrique (jednego z założycieli Przymierza Miłosierdzia) w Szczecinie. Mówił wtedy na mszy świętej o tym, by dawać z siebie coś więcej niż tylko praca, studia i codzienne zajęcia. Poczuję właśnie wtedy, iż pragnę dać z siebie coś więcej. Po Eucharystii Rafael (jeden z misjonarzy) podszedł do mnie i zaproponował mi wyjazd na rok do Brazylii. Ja od razu odpowiedziałem: tak. Gdy przygotowywałem się do wyjazdu spotkało mnie wiele trudności. Byłem zmuszony zostawić pracę i studia. Poza tym pojawił się również problem z wizą. Nie dostaliśmy wizy rocznej do Brazylii dlatego wpiery pojechaliliśmy na dwa miesiące do domu naszej wspólnoty w Portugalii i dopiero potem na pół roku do Brazylii.

M: Ja chciałam pojechać do Brazylii przede wszystkim po to, by się zmienić, odnaleźć sens mojego życia.

- Czy coś Was tam rozczarowało lub wręcz przeciwnie pozytywnie zaskoczyło?

A: Przed wyjazdem obawiałem się, że ciężko będzie mi tam żyć w ubóstwie, spać na ulicy. Jednak okazało się, że większym ciężarem były trudności dnia codziennego, które wynikały na przykład z innej od naszej kultury.

M: Faktycznie trudne były do przewyciężenia kwestie zwyczajów oraz sposobu komunikacji. We wspólnocie ważna jest dbałość o szczegóły takie, jak: sposób sprzątnięcia, ułożenie nakrycia do stołu, ścielenie łóżka. Wpiery był to dla mnie szok. Tłumaczono nam, iż trzeba dbać o te wszystkie rzeczy z miłości do drugiego człowieka. Jeżeli umyję podłogę z miłością, to ktoś, kto później przyjdzie w to miejsce będzie się tu dobrze czuł, będzie czuł tę miłość. Musieliśmy więc zrezygnować z naszego schematu myślenia i pomysłów na rzecz posłuszeństwa. Każdą czynność musieliśmy konfrontować z naszymi koordynatorami. Naszą wolność oddaliśmy wspólnocie. I nikt nie pyta tam dlaczego tak jest. Kształtowało to w nas pokorę.

- Jak wyglądał tam Wasz dzień? Jaka była Wasza rola?

A: Od poniedziałku do piątku przebywaliśmy w domu wspólnoty. Nasz dzień składał się z pracy, modlitwy, formacji. Weekendy spędzaliśmy ewangelizując, wychodząc do ludzi. Ja spałem na ulicy z bezdomnymi, natomiast Magdalena

prowadziła tzw. ewangelizację od drzwi do drzwi odwiedzając domy w fawelach oraz zajmowała się ewangelizacją „dzieci ulicy”. Nasz dzień zaczynał się o 7. i kończył ok. 23. W domu wspólnoty moim głównym zajęciem była praca w ogrodzie. Zajmowałem się również wyrobem różańców oraz pracowałem w stolarni wyrabiając drewniane krzyże.

M: Moja praca opierała się głównie na sprzątaniu w salonie oraz na robieniu bukietów i kartek. Nasz główny dom znajdował się w Sao Paulo, ale byliśmy też wysyłani na misje tygodniowe do Rio de Janeiro, Salto, Itu czy Sao José dos Campos.

- Jak przyjęli Was tam ludzie?

A: Misjonarze są tam dobrze przyjmowani, zarówno przez ludzi biednych, jak i bogatych. Wielokrotnie wchodziliśmy do niebezpiecznych faweli i byliśmy szanowani tylko dlatego, że mieliśmy krzyż na szyi. O wiele trudniej ewangelizuje się w Szczecinie, Brazylijczycy są bardziej otwarci.

- Jak wygląda w Brazylii kwestia bezdomności? Jak można porównać ją z sytuacją w Polsce?

A: W Brazylii jest o wiele więcej bezdomnych niż w Polsce. W Sao Paulo jest wiele grup z różnych Kościołów chrześcijańskich, które im pomagają rozdając jedzenie. W Polsce niestety brakuje takiego typu działań.

M: Największe wrażenie zrobiły na mnie tzw. dzieci ulicy. Sześciolatek, który ma dwuletnie dziecko na rękach. Dzieci trzymają się tam razem. Często nie mają w ogóle rodziców. Są brudne. Widziałam pewnego razu dwóch chłopców, którzy czyszczą buty by zarobić na jedzenie. Bezdomność wpisała się już na stałe w obraz Sao Paulo. Nikogo nie dziwi widok bezdomnego śpiącego na ulicy. Ludzie ulicy bardzo często traktowani są jak przedmioty. W nocy, gdy myje się chodniki nikt nie zwraca uwagi, że śpią na nich bezdomni. „Zmywa się” ich wodą jakby byli śmieciami. Trzeba też przyznać, że w Brazylii dużym problemem jest przemoc. Niebezpiecznie jest zarówno w centrum dużych miast jak i w fawelach. W trakcie jakiejś akcji w faweli policja strzela do każdego, nawet do dzieci, gdy uciekają. Misjonarze mieszkający w faweli Senador Camará często śpią na podłodze, bo w nocy może być strzelanina. Życie misjonarza jest ryzykiem. Osobie, która wstępuje do wspólnoty mówi się, iż wspólnota może zaoferować mu krzyż i tylko krzyż.

- Czy jest jakieś zdarzenie szczególnie zapamiętaliście?

A: Szczególnie pamiętam, gdy pewnego razu wspólnota wysłała mnie i jeszcze jednego misjonarza do innego miasta po to, aby rozprowadzić kilka tysięcy ulotek na temat naszej misji. Dostaliśmy pieniądze tylko na bilet w jedną stronę i usłyszeliśmy jeszcze, że dobrze byłoby gdybyśmy po powrocie je oddali. Dojechaliśmy do miasta, roznosiliśmy ulotki po księgarniach katolickich. Pewna pani z księgarni dała nam pieniądze na powrót do domu, a siostra zakonna, pracująca w kurii biskupiej na jedzenie. Poznaliśmy również inną panią, która dała nam obiad i kolejne pieniądze na naszą działalność ewangelizacyjną. Takie sytuacje uczą mnie całkowitego zaufania Panu Bogu, zostawiania wszystkiego jego woli, nie zabezpieczając się w żadnej sposób. Gdy wróciliśmy do ośrodka

oddaliśmy przełożonym kilkukrotnie więcej niż wydaliśmy na bilet.

M: Pewnego razu będąc w faweli przygotowywałam posiłek dla dzieci. Zaproponowałam jedzenie czteroletniemu chłopcu, który stał obok. Jednak on odpowiedział: „Nie, daj komuś innemu”. Zapytałam czy nie jest głodny, a on na to odpowiedział: „Tak, ale chcę być ostatni”. Dopiero później dowiedziałam się o zabawach ewangelizacyjnych dla dzieci we wspólnocie, które mają w zamiarze naśladowanie Jezusa. Jedną z takich zabaw nazywa się właśnie „wybrać ostatnie miejsce”. Było to dla mnie niesamowite przeżycie. Uświadomiłam sobie, że my, dorośli ludzie, żyjący często w dobrych warunkach nie potrafimy wybierać ostatniego miejsca, a ten czterolatek tak.

- Czy czujecie, że pobyt w Brazylii zmienił coś w Waszym życiu, że staliście się w jakiejś kwestii innymi ludźmi?

M: Przekonałam się do wspólnoty. Poznałam też jej pełny obraz. Jestem zdecydowana na bycie częścią wspólnoty Przymierze Miłosierdzia i otwarta na działanie Pana Boga. Złożyliśmy tzw. Śluby Przyjaciół Wspólnoty. Ofiarujemy jej nasz czas. Mam świadomość tego, że czeka na mnie zadanie do spełnienia w Przymierzu Miłosierdzia.



Fot. Archiwum prywatne.



Fot. Archiwum prywatne.



Fot. Archiwum prywatne.

Fot. Archiwum prywatne.

